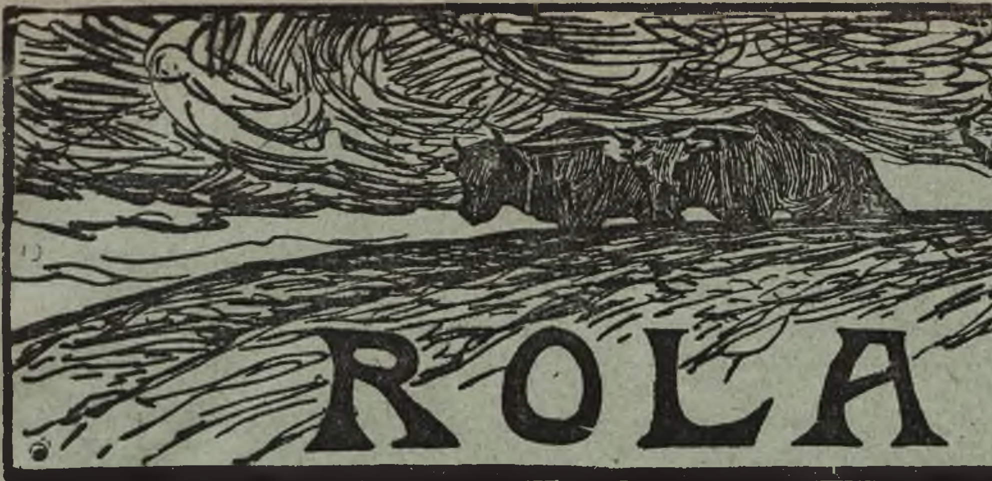
Numer 52. Nal. poczt. opł. rycz. Dnia 23 Grudnia 1928



KRAKÓW,
ulica św. Tomasza
32.

ILUSTROWANY BEZPARTYJNY TYGODNIK KU POUCZENIU I ROZRYWCE

Za zmianę adresu należy się 40 groszy.

Jak sobie to wytłumaczył.

Niejakiemu Bonifacemu Krzysztofowi Marudzie ukradł chłop konia, który miał na boku wypalone pierwsze głoski imienia i nazwiska właściciela, to jest: B. K. M. Gdy owego chłopa złapano i przed sąd stawiono, rzekł do niego sędzia:

— Umiesz ty czytać?

— Cokolwiek.

— A więc przyznasz sam, że ten koń, którego u ciebie znaleziono, należy do Bonifacego Krzysztofa Marudy, co dowodzą litery B. K. M. na boku tegoż konia wypalone.

— Wielmożny sędzio! odpowiedział chłop, ja zaś wcale inaczej tłumaczyłem sobie te litery, to jest, że B. znaczy Bierz, K. konia, M. Maćku, a że ja się nazywam Maciek, więc wziąłem owego konia jak swego.



Czasami w lecie.

Nowomianowany komisarz policji:

— Czy to miasteczko bywa oświetlane elektrycznością?

Miejscowy obywatel, z dumą: — Owszem, proszę pana komisarza — gdy pioruny biją.

Przy jednym.

— Podobno mąż pani umarł?...

— A tak.

— Długo chorował?

— Wszystkiego trzy dni. Było pięciu lekarzy.

— To chwała Bogu, że tylu, bo miał choć lekką śmierć. Przy jednym byłby się męczył ze dwa miesiące.



Cel w życiu.

Lekarz po zbadaniu chorego: — Zasadniczo, proszę nie zapominać, że po wyzdrowieniu nie wolno panu wziąć do ust kropelki alkoholu!

— I ja po to mam wyzdrowieć — panie doktorze?



W restauracji.

— Nie możecie też przecedzić herbatę? Pełno listków pływa mi w szklance.

— To naumyślnie, proszę pana... Pryncypał chce gości przekonać, że to nie ziółka, ani siano, ale czysta, prawdziwa herbata.

Numer 52. Rok XI. Kraków, dnia 23 Grudnia 1928



Kraków, ulica św. Tomasza L. 32.

ILUSTROWANY BEZPARTYJNY TYGODNIK KU POUCZENIU I ROZRYWCE.

Prenumerata na rok 1929: Rocznie 12 zł, półrocznie 6·50 zł, kwartalnie 3·40; do Ameryki 2 i pół dolara rocznie; do Czechosłowacji rocznie 50 kor. cz., półrocznie 27 kor. cz., kwart. 15 kor. cz. — Numer pojedynczy we wszystkich agencjach i w Administracji „Roli“ 30 groszy. — Adres na listy do Redakcji i Administracji: **Kraków, św. Tomasza 32.** Konto P. K. O. 406.301.

W wigilijny wieczór.

Anioł Pasterzom mówił!... rozbrzmiewa wszędzie pieśń wigilijna... Wigilja! Dziwny urok kryje się dla nas w tem jednem słowie. Wzrusza ono i rozrzewnia, czarem wspomnień przemawia do duszy. Na dźwięk tego wyrazu wyblakłe od lat wielu barwy ożywiają się, zatarte i rozwiane obrazy stają przed nami w swej dawnej postaci. Wydaje nam się przez chwilę, jakoby życie długiego szeregu lat nie ukazywało nam w dali nieuchwytnych mamideł, by uciec z niemi za zbliżeniem się naszem, że nie obdzierało bezlitośnie ze złudzeń młodości, nie karmiło goryczą zawodów i rozczarowań, nie pooralo czół zmarszczkami, nie poprószyło włosów siwizną...

I gotowiśmy przypuścić, że zmora trosk nie gniotła nigdy naszych piersi, że ciężkie brzemie walki o byt nie zgięło nas wcale do ziemi. Myśl nasza zwraca się mimowoli ku najpiękniejszym chwilom naszego życia, w których czerpaliśmy rozkosz i szczęście jedynie. W dniu tym zapominamy o wszystkiem, co nam ból sprawiało i łzami zraszało nasze lica. I nic innego widzieć nie chcemy, a tylko szczęście jedynie przeogromne i nieprzebrane.

Dzień wigilijny to przedewszystkiem święto pokoju, miłości i zgody. W dniu tym mówiąc słowy poety, serca nasze „jeśli coś mają przebaczyć — przebaczą, jeżeli o czem zapomnieć — zapomną“, aby się zespolić w serdecznym, bratnim uścisku. Są wprawdzie ludzie, którzy w dniu tym nawet nie mogą zapomnieć dawnych uraz, którzy nie potrafią przeboleć krzywd rzeczywistych czy urojonych, są tacy zatwardzialcy, ale niegodni oni nosić miana człowieka-chrześcijanina.

W dniu tym, Kochani Czytelnicy, i my stajemy przed Wami ze staropolskim opłatkiem w dłoni i życzeniem gorącem, aby szlachetne uczucia, napełniające Wasze serca, wznosiły je jak najdłużej i jak najwyżej nad poziomy, aby gorycze i smutki, o których dziś zapominacie chwilowo, nigdy już do serc Waszych nie wracały, aby ten węzeł bratniej miłości i zgody, który łączy nas wszystkich, okazał się trwałym prawdziwie i rzeczywiście doniosłym w swych skutkach. Niech ta miłość, która nas łączyła przez ubiegły rok cały, trwa nadal i w przyszłym, a nietylko trwa, ale niech się pogłębia i rozrasta do jak największych rozmiarów.

Pracowaliśmy przez rok cały, jak mogliśmy najlepiej tak, aby praca nasza wychodziła Bogu na chwałę, na szczęście Ojczyźnie, a społeczeństwu na pożytek. Wiemy to dobrze, że niejedno nie tak było, jakby być powinno, ale to już nie nasza wina, ale warunków, w jakich pracujemy. Zdani na własne siły, borykamy się z niejedną trudnością, może napozór małą, która jednak nasze wysiłki osłabia. Nie zrażamy się jednak przeciwnościami i mamy tę błogą nadzieję, że przy pomocy osób nam życzliwych w przyszłym roku rozwiniemy skrzydła do szerszego lotu, że słowa nasze dotrą i tam, gdzie jeszcze dziś są nieznane, a tu gdzieśmy się już zagnieździli, znacznie powiększymy grono naszych przyjaciół. I w tym właśnie kierunku w dniu dzisiejszym prosimy Was o pomoc: oddawszy nam serca Wasze, nie odbierajcie ich i nadal, a nie odbierając swoich, starajcie się, abyśmy tych serc pozyskiwali coraz więcej. W dniu tym uroczystym niech każdy postanowi sobie, że na przyszły rok zjedna nam chociażby tylko jednego zwolennika, a gromada nasza powiększy się tak, że staniemy na silnych i pewnych nogach. A wówczas i „Rola“ inny wygląd przybierze: powiększy się i udoskonali.

WALERY PRZYBOROWSKI.

Bitwa pod Raszynem.

Powieść historyczna.

XII.

Usłyszawszy Janek umówiony znak i do tego z tej strony potoku, ucieszył się niezmiernie, gdyż przekonywało to, że Cynga zdołał szczęśliwie uciec. Zaraz więc w odzew huknął niby puszczyk i żywo puścił się w kierunku, z którego dobiegał głos kukułki. Nagle z drzewa spuścił się Cynga i stanął przed Jankiem, wyszczerzając z widocznym wyrazem radości szereg swych białych, jak kość słoniowa, zębów.

— Ach, to ty, Cyngo! — zawołał Janek ucieszony. — Jakżeś się wydostał z obozu?

— O tem potem, teraz nie mamy czasu na próżne gadanie. Uciekajmy! — rzekł Cynga i wziąwszy Janka za rękę, chciał już iść, gdy nagle spostrzegł, że ten drży mocno.

— Co to, zimno ci?

— O! i bardzo.

— Prawda, dwa razy przełaziłeś przez wodę i upadłeś, widzę. Ano, mógłbyś zachorować, boś ty delikatny, nie cygan. Musisz wdziać inne suknie.

— Skądże ich wezmę? — spytał Janek.

— Ja ci je dam, paniczu! — odrzekł na to cygan — i żwawo ruszył naprzód, prowadząc Janka za sobą.

— I nawet powiem ci — mówił dalej — że to dobrze będzie, jak się przebierzesz. Te łachy wrzucimy do wody — będą myśleli cyganie, żeś się utopił.

I, nie czekając na odpowiedź Janka, wślizgnął się się cicho, jak wąż, pomiędzy najgęstsze krzaki i po chwili zjawił się z przeciwnej strony, prowadząc za uzdeczkę konia samego króla cygańskiego, osiodłanego i objuczonego dwoma workami.

— Cynga, skąd ty masz konia? — spytał zdziwiony Janek.

— Skąd? skąd? — mruknął cygan — przecież piechotą uciekać nie będę, bobym niedaleko uszedł i łatwoby mnie znaleźli. Dalej, rozbieraj się paniczu — niewiele mamy czasu.

To mówiąc, zdjął z konia worek, wyjął z niego dwa ubrania, jedno dawniejsze Janka, drugie nowe, i, podczas, gdy Janek się przebierał, on także wdziewał na siebie bardzo przyzwoity granatowy surdut i spodnie łosiowe. Następnie wziął łachmany, rzucone przez Janka na ziemię, wyszukał duży kamień i przywiązał go do nich, a skończywszy tę robotę, rzekł do Janka:

— Zostań tu i trzymaj konia, ja, jak tylko ułatwię się z utopieniem ciebie — uśmiechnął się — zaraz powrócę.

I znowu znikł w gąszczu leśnym ze zwinnością i zręcznością, która podziw budziła w Janku.

Dość długo nie było go widać i Janek począł się już lękać, czy mu się nie przytrafiło jakie nieszczęście. Niepokoił się i niecierpliwił, gdy nareszcie Cynga się pokazał. Był uśmiechnięty, uradowany.

— No, w drogę! — zawołał — mamy przed sobą z godzinę dobrą czasu. Oni cię teraz nie szukają, przypuszczają bowiem, że siedzisz na drzewie — bobrują tylko po lesie, żebyś czasami nie zeszedł i czekają dnia, pewni, że cię złapią jak lisa. No, siadajmy na konia!

Usiadł pierwszy, Jankowi kazał się za sobą pomieścić i trzymać dobrze, gdyż niedługo, jak tylko wydostaną się z lasu, ruszą galopem.

Ruszyli stępa i bardzo ostrożnie przemykając się między gęstymi krzekami. Nakoniec wydostali się z lasu na jakąś drożynę, przerzynającą obszerne pola.

Pędzili ciągle —ale wkońcu koń zlany potem, już widocznie resztkami się gonił. Szczęściem poczynał się las, a i dzień się też zrobił. W lesie Cynga zjechał z drogi i powstrzymał nieco konia, który bokami robił. Posuwali się teraz lekkim kłusem.

Cynga zagłębił się więcej w bór, wyszukał zaciszną dąbrowę, rozkiełznał, rozkulbaczył konia i puścił go na trawę, sam zaś z Jankiem począł posilać się chlebem i słoniną węgierską, której spory kawał miał w worku.

Gdy się najedli i odpoczęli nieco, rzeknie Janek do swego towarzysza:

— Opowiedz mi teraz, Cyngo, twoją historję.

Cynga pomyślał, spojrzał na słońce i wkońcu rzekł:

— Dobrze, mamy przed sobą z godzinę czasu, opowiem ci, paniczu Janku, moją smutną, bardzo smutną historję.

Położył się na trawie, ogniste swe oczy wlepił w czysty lazur niebios i tak zaczął opowiadać:

— Oj! sokole, sokoliku, paniczu Janku! smutna jest historja mego życia, smutna jak niedola, jak noc czarna. Miałem ci ja matkę, matuleńkę, Czandala się zwała. Dziś ją jeszcze pamiętam, choć temu tyle lat już jak nie żyje.

— Mój ojciec był królem bandy, w której najstarszą kobietą była stara Mokryna i Romno. Ten ostatni oddawna pragnął zostać królem, mówił, że ojciec mój nie dba o bandę, że ją włóczy po okolicy, w której kraść niema co, że zatem banda nieraz głodem przymiera. Mówił to wszystko cichaczem, podburzał resztę cyganów, w czem dopomagała mu ta stara wiedźma Mokryna. Banda, chociaż kochała i bała się ojca, przecież powoli zaczęła wierzyć temu, co mówi Romno, zaczęła podejrzywać ojca i mniej mu ufać. Spostrzegł to ojciec i baczną zwrócił uwagę na Romna.

Razu jednego stanęła banda obozem w głębi wielkiej puszczy litewskiej, która się nazywa Białowieską. Znał tam ojciec jedną polanę, w samym środku puszczy, dokoła otoczoną nieprzebytemi bagnami, przez którą pieszo, a cóż dopiero z wozami i ludźmi przejść niepodobna było. Ojciec przecież wiedział, że jest tam jedna wązka ścieżynka, trudna do odszukania, którą można dostać się do polany i siedzieć tam bezpiecznie i spokojnie, choćby lata całe.

Otóż na tę to polanę ojciec poprowadził bandę, chcąc odpocząć nieco w pokoju, bo szedł aż z Ukrainy, gdzie za jakąś sprawę, której nie znam, ścigał bandę uparcie pułkownik Robakow. Na polanie tej, w środku szumiącej puszczy Białowieskiej, można było sobie odpocząć spokojnie i bezpiecznie.

Przyszła tam banda nad wieczorem i rozłożyła się wygodnie. Późną już nocą ojciec mój wstał, żeby zobaczyć, czy wojska Robakowa nie kręcą się po lesie koło polany, gdy nagle spostrzegł, że w ostatnim z namiotów bandy siedzi przy ognisku kilku cyganów i coś radzą. Między nimi zobaczył Romna, który mówił coś, wywijał rękami i wskazywał na namiot króla. Stara Mokryna była przy nim i także z zapałem rozprawiała.

Wydało się to ojcu podejrzanem. Ta tajemnicza rada, wśród nocy, zwłaszcza pod przewodnictwem Romna i Mokryny, wyglądała na bunt, na spisek, a nie na zwykłą pogawędkę. Ojciec więc niewiele my-

śląc, zakradł się pod namiot zręcznie i począł słuchać. Romno mówił:

— Tak, trzeba go związać z jego żoną zaraz teraz i wydać w ręce Robakowa. Inaczej zaprowadzi on całą bandę na stracenie.

— Mokryna dobrze mówi! — ozwał się Romno. — Możnaby wprawdzie w ten sposób zrobić, żeby wysłać kogo do Robakowa i ścieżynką, którą dobrze zapamiętałem, sprowadzić go tu do obozu, niechby sam z królem się załatwił. Ale co za pewność, że Robakow, będąc panem obozu, nie weźmie się zarazem do nas wszystkich? Nie lepiej jest układać się z nim, stawiać warunki i mówić: wydamy ci naszego króla, ale nas nie tykaj!

— Tak! tak! — potwierdzili wszyscy — to daleko lepiej!

— A więc! — zawołał Rommo, powstając — waleczni mężowie, za mną do namiotu króla!

— Naprzód! naprzód! zachęcała Mokryna.

W tejże chwili mój ojciec stanął przed nimi, jak gdyby z ziemi wyrósł. Oczy świeciły mu się ponurym blaskiem, twarz miał śmiertelnie bladą, czoło groźnie zmarszczone, a wargi drżały mu od straszliwego gniewu. Jedną rękę trzymał na rękojeści sztyletu, który mu tkwił za złocistym pasem, a drugą wyciągnął w kierunku osłupiałego Romna. Wszyscy skamienieli i stali nieruchomi z oczami wlepionemi w mego ojca, a swego króla. Wtedy ojciec, powiódłszy swym strasznym wzrokiem po całem zgromadzeniu, zawołał groźnie, wskazując palcem na Romna i Mokrynę:

— Związać ich!

Wszyscy mężczyźni, a było ich tam dziewiętnastu, na rozkaz ojca rzucili się natychmiast na Romna i Mokrynę i związali im ręce i nogi. Wówczas ojciec krzyknął:

— Obnażyć ich i przykrępować do drzewa!

Spełniono ten rozkaz natychmist. Romno w ponurem milczeniu, ze strasznie ściśnętemi zębami, z wzrokiem dzikim, okropnym, dał ze sobą wszystko robić — ale Mokryna poczęła błagać ojca, by jej przebaczył.

— Zmiłuj się, królu — wołała — daruj mi winę! Jak pies będę ci wierną, proch z ziemi przed tobą ścierać będę, jeno mi przebacz!

— Niema przebaczenia dla zdrajców — odrzekł ojciec.

Wówczas Mokryna wykrzyknęła to straszne przekleństwo:

— Oby twoje dziecko tak mnie kiedyś błagało i obym mu tą samą wypłaciła monetą!

Kiedy już oboje winnych obnażonych przywiązano do dwóch drzew, ojciec kazał zbudzić cały obóz, rozpalić wielkie ognisko, żeby było widno, naciąć grubych prętów i smagać Romna i Mokrynę.

Bito ich bez litości. Dwóch silnych mężczyzn stanęło koło każdej ofiary i smagało niemiłosiernie w obliczu całego obozu. Mokryna, zlana krwią, jęcząc nieludzkim głosem, nie wytrzymała długo tej męki i zemdlała. Wówczas ojciec kazał ją odwiązać, zlać zimną wodą i oddać pod opiekę kobiet. Romno zaś zaciął się i nie wydał najmniejszego głosu. Bito go tak długo, że ciało poczęło odpadać od kości... i zapewne ojciec kazałby go na śmierć zasmagać, gdyby nie moja dobra, poczciwa matka, która wyprosiła wkońcu przyszłego kata jej własnego syna.

Romno się leczył, ale poprzysiągł zemstę ojcu. Od chwili tej strasznej egzekucji w obozie, wśród puszczy Białowieskiej było cicho i posłuch był wielki. Wszyscy drżeli przed ojcem — choć polana otoczoną była przez wojsko i choć do obozu głód zajrzał. Żywiono się, czem było można — łowiono ptaki, wiewiórki, zające czasem, gdyż polana była dość duża i miejscami gęstym porosła lasem. Tam to, wśród szmeru odwiecznych sosen litewskich, przyszedłem na świat.

Wreszcie wojsko odeszło, widząc, że nic nie zrobi i obóz się ruszył. Ojciec począł wtedy szybko przenosić się z miejsca na miejsce, ściągał do siebie inne bandy cygańskie, sprowadzał skądś broń, proch, kule, tak, że wkońcu liczył podobno dwustu dobrze uzbrojonych mężczyzn. Kiedy nakoniec wybuchła wojna, na którą się już dawno zanosiło, wojna Rosjan z Polakami, którymi dowodził naczelnik wielki Kościuszko, ojciec mój osadził wszystkie kobiety na owej polanie w puszczy Białowieskiej, a sam bardzo często robił stamtąd wycieczki z mężczyznami na Rosjan i bił się podobno jak lew... Podczas jego nieobecności królową na polanie była moja matka.

Razu jednego, banda, wracając z jakiejś bitwy, przywiozła ze sobą na wozie rannego Romna. Wniesiono go do namiotu, opatrzono. Leczył się długo i oczywiście przez ten czas nie brał udziału w częstych wyprawach ojca, jeno podczas jego nieobecności szeptał ciągle z Mokryną, która chorego doglądała. Co oni tam szeptali, niewiadomo, matka jako kobieta nie zważała na to, zresztą nie miała żadnych podejrzeń. W obozie było wszystko spokojnie, subordynacja wielka — nie miała więc matka powodu i przyczyny do podejrzeń.

Tymczasem w ciszy niecna zdrada się kryła. Romno, któremu rana w nodze wygoiła się już nieco, wykradł się podczas nieobecności ojca z obozu i sprowadził wojsko. Przeszło ono niepostrzeżenie, wśród nocy, przez ścieżkę pod przewodnictwem Romna, zajęło obóz, powiązało śpiące kobiety....

Potem, nie zmieniając zewnętrznego widoku obozu, ukryto wśród krzaków i drzew żołnierzy tak zręcznie, że kiedy ojciec, powracając ze zwycięskiej wyprawy z dwoma zdobytemi na nieprzyjacielu armatami wszedł, niczego się nie domyślając, w środek obozu, został obskoczony, banda rozbrojona bez żadnego prawie oporu, a ojciec schwytany. W parę dni potem powieszono go w najbliższem miasteczku.

Odtąd zmieniło sę całkiem nasze życie. Matka była zawsze królową, ale jej banda składała się zaledwie z sześciu kobiet, z gromady dzieci i dwóch starych, niedołężnych cyganów. Włóczyliśmy się po całej Litwie, a choć była nieraz bieda, choć zimno dokuczało, przecież chwile te uważam za najszczęśliwsze w mem życiu.

Trwało to życie lat kilka — o Romnie i Mokrynie nic nie słyszeliśmy. Przepadli, jak kamień w wodę. Widziałem tylko, że wielekroć matka o nich mówiła, to oczy jej błyszczały strasznym gniewem i purpurowy rumieniec twarz pokrywał. Mawiała wówczas:

— Jeżeli się kiedy spotkamy, to albo ja, albo Romno zginąć musi.

Niestety, ona zginęła! Pewnego wieczoru, kiedyśmy spoczywali obozem w jakimś lesie, zjawił się Romno i Mokryna, na czele bardzo licznej bandy. Romno poszedł wprost do matki, która siedziała przed namiotem i patrzała na moją swawolę z innemi dziećmi. Gdy go zobaczyła, zerwała się na równe nogi, blada jak chusta, straszna.

— Cóż, Czandała — syknął Romno — ja tu teraz król!

Matka nic na to nie odrzekła, tylko dobyła sztyletu, który zawsze nosiła za pasem, i rzuciła się na Romna z głośnym krzykiem. Widziałem, jak mignął się przy niepewnym brzasku dnia brzeszczot sztyletu... Byłem pewny, że Romno zginął! Ale on odskoczył w bok i w jednem mgnieniu oka olbrzymim młotem kowalskim, który trzymał w ręku, uderzył matkę w głowę. Jękłâ i padła ze skrzaskaną czaszką na ziemię...

Uśmiechnął się Romno pogardliwie, kopnął mię nogą tak silnie, że padłem o kilka kroków jak długi i, wskazując na mnie, rzekł:

— Osmagać to szczenię, a dobrze!

Zbito mię niemiłosiernie — sama Mokryna mię biła. Odtąd w obozie byłem ostatnim, ja, który dotąd byłem pierwszym. Używano mię do najpodlejszych posług, katowano za najmniejszą winę, za uśmiech, za słowo, niebacznie wyrzeczone, głodzono...

Takie życie pędzę od lat kilku...

W tem miejscu Cynga przerwał nagle i począł nadsłuchiwać. Wśród ciszy leśnej wiatr przynosił daleki huk, niby grzmot, niby trzask piorunów.

— Co to, grzmi?... — zapytał.

I począł znów słuchać.

(Dokończenie nastąpi.)

Idzie dziaduś po lesie...



Idzie dziaduś po lesie i dla wnuków coś niesie: jakieś drzewko zielone w białe płatki upstrzone. Pod ciężarem chwieje się. A choć w uszy mróz szczypie i wciąż z góry śnieg sypie, on się jeno uśmiecha, boć to wnukom pociecha!

Niech tam dalej śnieg sypie! Wszak już chata jest blisko i w niej ciepłe ognisko, więc zapomni o trudzie i o mrozie i grudzie.

Wszak już chata jest blisko, a tam śliczne wnuczęta małe swoje rączęta doń wyciągną radośnie, że aż dziaduś podrośnie i uściska wnuczęta.

A gdy spocznie se krzynkę, to ustawi choinkę, ustroi ją w jabłuszka i z piernika serduszka. I już widzi tę minkę, jaką zrobią wnuczęta, jak zaklaszczą w rączęta... I już słyszy te śmiechy i dom pełen uciechy i szczęśliwe dziecięta!

Potem przymknie powieki, może spocznie na wieki i nic nigdy go nie zbudzi... Pamięć jego zostanie i to wielkie kochanie i u Boga i ludzi.

Antoni St. Bassara.

Boże Narodzenie.

I znów jesteśmy o rok dalej od wielkiej chwili, w której gdzieś w odległej od nas krainie zabłysnęła na nieboskłonie gwiazda, zwiastując przyjście na świat Tego, który miał głosić ludziom szczytne i święte zasady Miłości, by za tę naukę dać życie...

Przenieśmy się na chwilę mocą wyobraźni w te odległe czasy, zajrzyjmy pod niski dziurawy dach Stajni Betlejemskiej. Oto Święta Niewinność klęczy nad Niemowlęciem, otula Jego drżące ciałko i tuli do serca. I cicha była ta chwila, jak ciche było życie Matki i Syna. Nie grały trąby, ni dzwoniły fanfary... Jedynym świadkiem tego zdarzenia byli pastusi — cisi i prości o sercu jagniąt. Z tej zbitej gromadki wysuwa się jakiś chłopczyna o jasnych jak len włosach i jak chaber oczach i klęka przed Czystą Dziewicą, tuląc swe usta do stóp przejasnych, bielszych ponad lilje. I uśmiechnęło się doń Dzieciątko, wskazując oczętami mu Swą Matkę, a Panna bez zmazy złożyła przeczystą rączkę na głowie chłopczyny, przytulając ją do siebie.

Czemuż to Dziecię — co było przyobiecane Patrjarchom, przepowiedziane przez Proroków, przychodzi na świat w stajni a nie w porfirowych pałacach?

I jakaż to stajnia? Nie taka, jaką budują możni tego świata dla swych faworytów, co mają biegać po różnych torach, by zbierać dla panów swych strugi złota.

Czemu nie strojno i gwarno wokół Niego? Czemu miast dworzan, ma osła i woła za towarzyszów? Bo świat cały jest stajnią, gdzie rzeczy najpiękniejsze najwięcej boskie piekielną modą przerabiają w kał. Bydlęta nieme świadki Narodzin Pana były świętsze od Bydląt-Ludzi, krzyżowników z Golgoty. Pierwsze swym oddechem rozgrzewały członki Świętego Ciała; drugie zaś za perły Boskiej nauki pozbawiły Go życia.

Syn człowieczy miał za kołyskę żłób, w którym zwierzę przeżuwa cudne kwiecie Wiosny.

Śmiertelnemu Królowi nad wiekami oddają cześć Zwierzęta, Pasterze, Magowie — pierwiastki bytu ludzkiego: Natura, Lud i Wiedza. Ci ostatni składają ofiary: Złoto — by spełnić nakaz ewangeliczny: sprzedaj, co masz i rozdaj ubogim; Kadzidło — bo skończyła się ich ofiara bo nadeszło Nowe Przymierze; Mirę — bo wiedzą, że Dzieciątko umrze, a Matka Jego potrzebować będzie wonności.

Staropolskim zwyczajem w wieczór ten tajemniczy łamiemy się opłatkiem, eucharystją chleba powszedniego. W chwili tej uroczystej złóżmy w duchu Dzieciątku ślub, że odtąd świat ten ogrodem, pełnym Dzieciątku ślub, że odtąd świat ten będzie ogrodem, pełnym wonności Jego nauki.

Stanisław Wojtasik.

Jutrzenka życia.

Oto nad cichą szopą lśni
Srebrzysta gwiazda życia
Tego, co w żłóbku z zimna drży,
Na sianie, bez okrycia...

Tuli Go Matka do Swych lic,
Do serca gorącego,
Bo oprócz serca nie ma nic
Dla Syna najdroższego.



Lecz od dalekich śnieżnych pól
Pasterskie brzmią rozgwary:
Gdzie Bóg-Dziecina, gdzie nasz król?
Niesiem Mu z serc ofiary!

Pójdźmy o Bracia wszyscy wraz
Do szopy słomą krytej,
Niechaj tam miłość wstąpi w nas
Dziś w Rzeczypospolitej!

Robert Rydz.

W noc cudów...

...I znów nadszedł dzień święty, w którym powinniśmy rozpamiętywać tajemnicę nieograniczonej miłości Boga ku nam — dzień Narodzenia Pana.

Uroczysty dzień Bożego Narodzenia jest dniem wielkim i radosnym, mieszczący w sobie wszystkie inne święta, bo narodzenie się Chrystusa jest źródłem wszystkich innych religijnych uroczystości. Boże Narodzenie to przepiękne święto miłości, które u nas w Polsce bywa przez chrześcijan jak najuroczyściej obchodzone.

Pieśń kolędowa wesoło się rozlega w dniu najradośniejszego święta, a w ślad za nią uderzają żywiej serca chrześcijańskie, ludzie stają się lepsi, serdeczni i miłosierni. Najzaciętsze nienawiści składają broń swoją wobec wielkiej tajemnicy, i ci, co z rana byli gotowi nastawać na swe życie, wieczorem w bratniej zgodzie zasiadają do stołu wigilijnego i łamią się opłatkiem, życząc sobie wszelkiego dobra i szczęścia, tak szczerze, jak szczerze przedtem życzyli sobie wzajemnie zguby.

Po wsiach dotąd przechowuje się piękny zwyczaj podścielania siana pod obrus, na pamiątkę, że Chrystus urodził się w stajence i na sianie został położony. Poczciwa wieś, jak w wielu rzeczach, tak i w tej, jest wierniejszą strażniczką od miasta narodowego zwyczaju i obyczaju, który w wielu położeniach jest skarbem i arką narodu.

Starsi wesoło rozmawiają, dzieci zaś radują się, patrząc na suto ustrojone drzewko. Dobra myśl, błogie poczucie, zadowolenie ogarnia wszystkich.

O północy wszyscy prawie śpieszą na „Pasterkę", mszę św. odprawianą na pamiątkę powitania narodzonego Chrystusa przez pasterzy. Okna skromnych, czy wspaniałych świątyń jaśnieją o tej godzinie jarzącem światłem. „Wśród nocnej ciszy", przecudne słowa naszej kolędy przerywają ciszę nocy Bożego Narodzenia.

Już mija 1928 lat od tej pamiętnej i wielkiej chwili, kiedy nad doliną betlejemską rozchodziło się echo pieśni anielskiej „Chwała na wysokości Bogu, a na ziemi pokój ludziom dobrej woli". Hymn ten ziemia nasza prawie tysiąc lat wznosi jednym głosem i sercem, w wigilijną noc wśród ciszy natury, w rzęsiście oświetlonych świątyniach Pańskich. W czasach niewoli śpiewała Polska ten hymn w nadziei, że ten „pokój ludziom dobrej woli" stanie się udziałem narodu polskiego, tak niesprawiedliwie pozbawionego swego bytu narodowego i państwowego, rozdartego na trzy części.

Zmartwychwstała dziś Polska w żłóbku Bożej Dzieciny i chociaż na Jej łonie istnieją różne obozy i partje, śpiewa ten hymn, mając silną, a niezłomną nadzieję, że i to wewnętrzne rozdarcie ustąpi i naród cały się zjednoczy w wierze, miłości i w zgodzie braterskiej.

Jeśli pracować będziemy w zgodzie i miłości, a praca nasza przy pomocy Bożej będzie chwałą Boga na wysokościach, to nam w Ojczyźnie silnej, potężnej i świętej, jako „ludziom dobrej woli" pokój przyniesie.

Podnieś rękę, Boże Dziecię
Błogosław Ojczyznę miłą...

Włodzimierz Szwabowicz.



MACIEK BZDURA GADA:

Nacekał się cłek bez calusieńkie pięćdziesiąt dwie niedziele, nacekał, ale teraz, gdy to moje gadanie cytać będziecie, juz u niejednego święta wigilja i święty pośnik będą nie ino za pasem, ale i pod pasem.

Juz naprzód widzę, jaka to będzie okrutecna urocystość. Gospodyni nagotujom baszcu, zimiaków, kapusty, pirogów, kasy, grochu i inksych roźnych marcypanów. Jak ino pirsa gwiazdka na niebo wylizie, pościelą na stole siana, przykryją go płachtą, położą opłatek, a na nim będą stawiać miskę za miską, juz się będzie dusa i gęba radować. A jesce i ta wygoda jest we wiliję, ze gospodyni nie patrzą cłekowi w gębę ile zje, bo tyle tego jest, ze jem nicego nie zal.

Przy stole gospodarz co jedna łyzka to popuscą pasa, a jak się jem jakie mrucenie we wnętrznościach zrobi, to wołają niby to na psa:

— A pójdzies! — choć psa w izbie nima. Ja na taką urocystość zapobiegam se lepiej, bo pasa wcale bez całuśki dzień nie opasuję, latego mi tez i łacwiej święty pośnik w spokojności uściwiej spozytkować.

Po pośniku wyjdziewa wszyscy na dwór, zeby słuchać, z której strony pies zasceka, bo to będzie znacyć, ze z tej strony przyjdzie do łujkowej Maryny w świętego Scępana zalotnik. I pedziałby kto, ze pies nima rozumu. Juści! Ani zaden człowiek, ani zadna kubita nie moze spenetrować bez cały rok, z jaki strony do takiego strasydła, jak łujkowa Maryna, mógłby przyjść jaki śturkac, a pies to zaraz pozna. Ino nie wiem, coby to było, jakby tak psy zacęły ze wszyćkich stron scekać?

Po psiem scekaniu będziewa oba z gospodarzem owiązywać powrósłem urodzajne drzewa, zeby w zimie od mrozu nie popękały. A potem będziewa kolendować i kolendować jaz do północka, a o północku pójdziewa na msę pastyrską. Tej msy to najbardziej nie lubi pan organista, bo, jak gadają, jaz się mu niedobrze robi, tak pośnik pachnie od ludzi, a wszyćko to na chór wali.

W samo święto Narodzenia Pana Jezusa ludzie choć raz na rok dobrze se zycą, jakby to przez cały rok źle se zycyli.

Z tej okazyje i ja, coby się nie swendać od chałpy do chałpy i do garcków nie zaglądać, co tam gdzie uwarzyli, tutajna tej miejscowości wszyćkie swoje zycenia wygadam. A ze na całem świecie kazdy cłek sam la siebie najważniejsy, więc i ja zacne od siebie.

A więc sobie zycę, jak najprędzej takiej baby, coby umiała dobrze i duzo gotować, coby miała chałpę, grunt i wszyćkie przynależności, a coby ją mozna było choć raz na dzień dobrze zarnówką przełoić i coby nie zbyt długo przy mnie siedziała.

Nasemu jegomości zycę, aby jem Poniezus dał taką kucharkę, aby o nich choć odrobinkę dbała, a nie ino o siebie. Zycę jem, aby było duzo wesel, a jesce więcj chrztów, a pogrzebów, ile Poniezus rozporządzi, bo to juz nie moja rzec, ino Pana Jezusa.

Panu organiście zycę, aby babom kury bez całą zimę po dwa jajka codzień niosły, z których to jajek niechby po jednem na swą uzytecność brały, a drugie ochwiarowały panu organiście na chwałę Bożą, coby mógł se niemi garło odświzyć i jesce głośniej śpiwać.

Profesurowi zycę, aby mu Poniezus dał tyle tysiącek, ile on dzieckó w na porządnych ludzi wyprowadził. Niechby tam bidak za swoją ciężką pracę choć na starość się uciesył.

Grubarzowi nie zycę nic, bobym mu musiał zycyć duzo pogrzebów, to byłoby la grubarza dobrze, ale la inksych ludzi źle. Więc niechta juz jednemu będzie źle, byk wszyćkiem było dobrze.

Panu leśnicy zycę, aby mnie nigdy w lesie nie złapał, jak mnie gospodyni poślą na gałązki do lasa, bo to i jemu i mnie na scęście i zbawienie dusy wyjdzie. Mnie — bo nie będę musiał uciekać, a jemu, ze nie będzie za mną swoich gnatów wydziroł i jesce potem z byle kim się po sądach włócył.

Gospodarzowi mojemu zycę, aby mu Poniezus dał cirpliwość i wytrwanie do przezycia reśty tych „miodowych" miesięcy, jakie od trzydziestu roków z swoją babą mają.

Cego zyce mojej gosposi, tego nie powiem, bo to nie ładnie takie rzecy do gazety gadać, a po drugie, ze się ich trochę, choć nie bardzo, boję.

Na ostatek zostawiłem se zycenia la tych, co bez cały rok moich gadań słuchali i, da Bóg, jesce długo słuchać będą. I cegoz Wam mam dzisiaj zycyć? Chyba ino tego, aby Pan Jezus malusieńki, w stajence zrodzony, przepełnił serca Wase miłością ku Sobie, miłością ku Ojczyźnie nasej kochanej, miłością ku braciom Wasym, zamieskującym naszą Polskę ukochaną. Niech w sercach Wasych zapanuje ta miłość i zgoda, niech je przepełni, niech w nich zajaśnieje! Niech znikną z pośród nas zawiści i waśnie; podajmy sobie dłonie do wspólnej pracy, a lepszej przyszłości się dockamy.

Bracia moi! Zycę Wam, aby z pośród Was znikła ciemnota i nieuctwo! Niech oświata zaglądnie do każdej chłopskiej chaty, a biedzie i niedoli wnet koniec będzie. Bo chłop to nie byle co, ale moc i potęga, a że jeszcze nie ma tego znaczenia, jakie mieć powinien, to dlatego, że jest jeszcze więzami ciemnoty skrępowany, która mu nie pozwala rozwinąć skrzydeł do szerszego lotu. Zrywać nam co rychlej te pęta, rwać się do nauki i oświaty, a staniemy się tak silni, jak twierdza niezdobyta. Nie gadajcie, że nauka, to pańska rzecz, a dla chłopa wódka i donicka jedzenia wystarczy! Nie gadajcie tak, bo chłopu właśnie najbardziej tej nauki potrzeba. Bierzcie się więc do niej, czytajcie, uczcie się a będziecie przodownikami w świecie.

Z głupiego śmiać się można, a mądrego to nawet gospodyni się zlękną, co daj Boże — Amen!

Myśli.

Choć mąż pracuje w dzień i w noc, obija se dłonie,
Nie dorobi się niczego przy rozrzutnej żonie.

☆

Żyj z wszystkimi w zgodzie, nie drzej z nikim koty,
Bo „lepsza słomiana zgoda, niżli proces złoty".

☆

Bądź mierny w piciu, jedzeniu — przysłowie to stare,
Pozwala Bóg użyć darów, lecz zachować miarę.

Piotr Wenc.

PODRÓŻ PO DALEKICH KRAJACH.

Ziemia święta.

Ziemię, na której narodził się Pan Jezus, żył, nauczał i później poniósł śmierć męczeńską, nazywamy Ziemią świętą, gdyż jest ona uświęcona śladami stóp Zbawiciela. A ziemią tą jest Palestyna. W niej znajdują się miejscowości, jak Betlehem, Bethanja, Jeruzalem, Damaszek, Nazaret, Jaffa i inne, posiadające i dziś jeszcze pewne znaczenie, lub też żyjące tylko sławą lat dawnych.



Widok na rzekę Jordan.

Palestynę przecina rzeka Jordan, w której Pan Jezus kazał się ochrzcić św. Janowi. Jordan widzimy na naszym pierwszym obrazku.

Podróżny, udający się do Ziemi świętej, przybija najpierw okrętem do Jaffy, starego miasta portowego, gdzie rocznie wylądowuje około 80.000 pątników, spieszących do Jerozolimy. Drugiem miastem portowem jest Akre, obwarowane, niegdyś klucz do Syrji, które zaznaczyło się w dziejach wojen krzyżowych i z oblężenia przez Napoleona w 1799 r. W pobliżu wznosi się góra Karmel, miejsce pobytu proroka Eljasza i Elizeusza, pełne grot, w których pustelnicy chrześcijańscy przebywali.

Wewnątrz Galilei znajduje się miasteczko Nazaret, zamieszkałe przeważnie przez chrześcijan, zbudowane na wzgórzach wśród słynnej doliny Esdraelon, otoczone ogrodami, gajami figowymi, oliwnymi i kaktusowymi. Ulice jego krzywe pną się po stokach wzgórzy. Dolina Esdraelonu słynęła ze swej żyzności i wybornych pastwisk. Była przeto areną licznych bojów. Tu zginął król egipski Necho, to zachodziły wojska asyryjskie Nabukadnezara, Saracenów, Krzyżowców, Persów, Druzów, Turków, Arabów i Francuzów. W Nazarecie urodziła się Najświętsza Marja Panna.

Do kwitnących jeszcze i dzisiaj miast należy Damaszek. Wzrósł on już w odległej starożytności z rówieśnikami swymi, jak Niniwą, Babylonem i Memfisem do znacznej wielkości, jako miasto, położone na progu dwu światów: kraju górzystego Libanu i piaszczystej pustyni syryjsko-arabskiej, a przeto jako stacja na drogach karawanowych. Przybywa tu rocznie kilkadziesiąt pielgrzymów z Europy, Turcji azjatyckiej, Persji i Turkestanu, spieszących do Mekki, świętego miejsca dla Mahometan. Ciągną stąd karawany do Bagdadu i do Aleppo. Miasto kwitnie też i przemysłem, jak wyrobem rzeczy z perłowej macicy, wyrobami jedwabnymi, różanego olejku, pachnideł, dywanów, skór, mydła itp. Odbija znacznie swym wyglądem od innych miast Wschodu. Nad miastem wznoszą się kopuły i wieżyczki stu meczetów, pięciu kościołów, ośmiu synagog. Jest tu dwadzieścia seminarjów mahometańskich. Domy z cegły i kamienia bardzo proste, ale wewnątrz bogato urządzone. W ich podwórzach klomby kwiatów i wodotryski, wspaniałe podcienia wsparte na kolumnach. Ulice wcale czyste, brukowane. Wiele okazałych bazarów, pięknych kawiarń, z których niejedna zbudowana jest na słupach na rzece Barada, przepływającej przez środek miasta. A wszędzie sady, ogrody, gaje oliwne i palmowe otaczają nieraz piękne dworki.

W Damaszku żył i nawrócił się później święty Paweł.

Na obrazku naszym widzimy pośrodku cmentarz katolicki, otoczony dookoła murem, a wewnątrz ogrodzenia wyrastają drzewa szumiące pomarłym pieśń smutku na wieczny spoczynek. Po lewej stronie cmentarza biegnie droga z Damaszku ku Jerozolimie, na której nawrócił się święty Paweł. Na drodze tej widzimy jeźdźca na wielbłądzie i dwa wielbłądy wolno chodzące. Po lewej stronie drogi na pierwszym planie znajduje się cmentarz katolików obrządków wschodnich, dalej wielka piwnica, mieszcząca kości chrześcijan, pomordowanych w Damaszku w 1860 roku, a poza nią grota, w której ukrywał się święty Pa-



Miejsce nawrócenia św. Pawła.

weł. Wreszcie na kraju naszego obrazka, po prawej stronie drogi okalającej cmentarz katolicki, widzimy cmentarz żydów Karaitów.

A teraz udajmy się w sam środek Palestyny. Na wyżynie 780 metrów nad poziom morza wzniesionej, na półwyspowatym jej wyskoku, odciętym od reszty kraju głębokiemi o stromych brzegach dolinami Cedronu i Hinnomu leży stolica tego kraju: Jerozolima. Jak cała Palestyna oderwana od reszty świata, bądź oddzielona morzem dosyć niedostępnem była i Jerozolima wyrazem tego oderwania i zamknięcia się w sobie, odbijającem się tak na całej cywilizacji żydowskiej. Miasto rozsiadło się u stóp góry Oliwnej, na wschodzie wznosi się góra Morijah, a Sjon na zachodzie. Po stokach gór pną się dzielnice miasta, o brudnych, ciasnych i krzywych ulicach. W dzielnicy chrześcijańskiej wznosi się kościół Grobu Pana Jezusa. Pierwszy kościół na tem miejscu zbudowała cesarzowa grecka Helena, a gdy ten spłonął w 1811 r. został odbudowany kosztem mnichów greckich.

Betlehem, czyli Dom Chleba, wioska, miejsce Narodzenia Pana Jezusa jest zbudowana na dwóch wzgórzach. Betlehem zdobi wspaniały kościół, zbudowany przez cesarzową Helenę, oraz kaplica, która obejmuje miejsce Narodzenia Pana Jezusa, to jest grotę wykutą w skale i wyłożoną marmurem. Otaczają ją ogrody klasztorów: katolickiego, ormiańskiego i greckiego.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Ślepa niewolnica.

Rozdział XLVIII.

Ofiara miłości.

W Szwechacie, w bliskości którego wzniesiony obelisk jeszcze dziś przypomina miejsce spotkania się cesarza Leopolda I. z Janem Sobieskim, oswobodzicielem Wiednia, Polacy rozbili obóz i po części w domach mieszkańców, a po części w namiotach kwaterowali.

Sobieski zajął kwaterę tymczasowo w kilku pokojach jednego domu, nim przeznaczony dla niego namiot rozbito. W jednym pokoju udzielał rozkazów i posłuchań, drugi służył mu za sypialnię.

Kapitan Wychowski doniósł mu pewnego dnia, gdy się już ściemniało, o przybyciu księżnej Animow, której jeszcze nie widział po zwycięstwie.

Wyszedł zaraz naprzeciw niej, podał jej rękę i wprowadził ją do pokoju.

Sassę głęboko wzruszył widok zwycięzcy.

— Przybyłam tu, najjaśniejszy panie, tylko, aby wyrazić moją wdzięczność — rzekła, — czemże jednak są słowa tam, gdzie uczucia przepełniają serce! Przyszedłeś, najjaśniejszy panie, zbliżyłeś się i nieszczęśliwi zostali ocaleni! Wezwałam cię, powiedziałam ci jak wielką była nędza i rozpacz... gdy cię ujrzałam, odzyskałam nadzieję! I nadzieja mnie nie zawiodła! Niebo zesłało cię i ocaleni modlą się za ciebie!

— Przeceniasz moją zasługę, księżno, — odpowiedział król łaskawie.

Oficer królewski wszedł i oznajmił, że właśnie rozbito namiot i wszystko w nim na przyjęcie króla jest przygotowane.

— Ciemno już, księżno, czy chcesz jeszcze dziś wracać do Wiednia? — zapytał król, — jabym radził zostać w Szwechacie!

— Gdzież lepiej może być Sassie, jak w bliskości króla i pana!

— Przenoszę się do namiotu, księżno, więc ustąpię ci chętnie tych pokoji, — rzekł Sobieski, — czy chcesz je zająć?

— Szczęściem to będzie dla mnie najjaśniejszy panie!

Król pożegnał Sassę i z orszakiem swoim opuścił dom, aby ciemnym wieczorem udać się do swego namiotu.

Sassa zostawszy samą, złożyła ręce. Znajdowała się w mieszkaniu, w którem przebywał wybawca Wiednia, bohater, dla którego miała tyle czci, uwielbienia i miłości.

Służąca przyniosła światło i wraz z właścicielką domu przygotowała sypialnię dla księżnej, której i opieka nad nieszczęśliwymi głośną była wszędzie!

Sassa była zmęczoną i wcześnie udała się do sypialni, oddaliwszy służącą, która zgasiła światło.

Gdy cicho i ciemno zrobiło się w domu, gdy księżna odmówiwszy modlitwę, usnęła, gdy i w obozie nastał spokój nocny, a żołnierze udali się na spoczynek, nadjechał do obozu jeździec.

Miał on na sobie mundur polskiego rotmistrza, i jak się zdawało przebył daleką drogę.

Obejrzawszy się ostrożnie na wszystkie strony, jeździec pojechał prosto do placówki, która poznawszy w nim rotmistrza, przepuściła go bez trudności.

Jeździec zsiadł z konia, oddał go jednemu z żołnierzy i zapytał o króla.

Żołnierz nie wiedział, że król przed godziną przeniósł się do rozbitego namiotu i wskazał rotmistrzowi dom, w którym król stał kwaterą poprzednio.

Nikt nie poznał pod przebraniem kanclerza Paca, który miał szablę przy boku i sztylet za pasem.

Tym sposobem udało się kanclerzowi bez przeszkody dostać się do obozu, w którym już panowała cisza nocna.

Knując w myśli plany zemsty, zaprzysiężony wróg Sobieskiego, szedł przez obóz, ażeby wreszcie spełnić ułożony zamiar.

Tym razem żadna w świecie potęga nie mogła mu przeszkodzić, jak sądził, gdyż mundur rotmistrzowski otwierał mu drogę.

— Nadeszła twoja ostatnia godzina, — mówił do siebie — myślisz, że się mnie pozbyłe, upajasz się szczęściem i sławą, ale mój sztylet zada ci śmierć siebie — myślisz, że się mnie pozbyłeś, upajasz się z sobą, panie Sobieski! Dość długo tryumfowałeś! Teraz kolej tryumfu dla mnie.

Zbliżył się do wskazanego domu.

Drzwi jego były otwarte, a przed niemi stała podwójna warta, jak zwykle przed kwaterą królewską, czy to dlatego, że jej nie ściągnięto jeszcze, czy też, że król kazał ją pozostawić.

Dwaj żołnierze stali na boku, oparci o mur, i rozmawiali ze sobą pocichu.

Gdy rotmistrz się zbliżył i poznali jego mundur, nie zatrzymywali go. Sądzili, że ma prawo być w tem miejscu i wejść do domu.

Kanclerz szedł zresztą tak śmiało i pewnie, że żołnierze musieli przypuścić, iż miał polecenie udania się tam.

Mniemany rotmistrz przeszedł koło nich i wszedł do domu, w którym było ciemno. Sądził, że król udał się już na spoczynek, a wiedział, że zwykł był sypiać zawsze sam, bez służącego, albo adjutanta

w bliskości. Kanclerz Pac ujrzał się u swego celu. Przeczekał kilka chwil, nasłuchując, czy go nie dojdzie jaki szmer, następnie przystąpił do drzwi, prowadzących do dwóch pokoi, które przedtem zajmował król, a w których od godziny mieszkała księżna Sassa.

Po cichu, bez najmniejszego szmeru otworzył drzwi. Sassa leżała w głębokim śnie pogrążona w drugim pokoju, którego drzwi pozostawiła otworem.



Postąpił po cichu naprzód.

Pierwszy pokój, do którego wszedł kanclerz Pac, był słabo oświetlony przez brzask, przedzierający się oknem, który jednak zaledwie pozwalał dostrzedz znajdujące się w pokoju przedmioty. Przy tym brzasku, Pac dostrzegł drzwi, prowadzące do sypialni.

Ujął rękojeść sztyletu i wydobył go. Mógł nagle spotkać jaką przeszkodę, chciał być gotów, ażeby ją usunąć.

Słychać było tylko regularny oddech osoby śpiącej w przyległym pokoju.

Postąpił po cichu naprzód, trzymając w ręku sztylet.

Brzask w pokoju sąsiednim pozwalał mu dostrzec łóżko, lecz nie dawał rozpoznać dokładnie śpiącej osoby. Przestąpił próg. Nikt mu nie bronił wejścia. W głębi stało łóżko. Regularny oddech dochodził do niego. Nie mógł wątpić, że król śpi.

Z dziką, niepohamowaną nienawiścią i żądzą krwi kanclerz, wstrząsnął sztyletem i po cichu zbliżył się do łóżka.

Przeczucie nie zawiodło Sassy. Król był rzeczywiście w strasznem niebezpieczeństwie.

Księżna śpiąca pogrążona była w marzeniach, które ją przenosiły w daleką przeszłość, w owe czasy, kiedy była jeszcze ślepą niewolnicą Jana Sobieskiego, za którego już wówczas umrzeć była gotową, i który ją nazywał swoją kochaną Sassą.

Zdawało się jej we śnie, że w ciemności broń mordercza zbliża się do Sobieskiego. Sassa widziała niebezpieczeństwo i po cichu podbiegła, żeby cios otrzymać.

W tej chwili w skrytobójcy poznała kanclerza Paca.

Sen był rzeczywistością.

Morderca Pac przystąpił do łóżka i strasznym ciosem przeszył pierś Sassy.

Dał się słyszeć słaby, stłumiony krzyk.

Pac wsłuchał się w ten krzyk i osłupiał.

W ręku trzymał skrwawiony sztylet, który wyrwał z rany...

— Umieram za ciebie! — mówił cichy głos Sassy.

Kanclerz stał przerażony. Sztylet jego trafił nie tę ofiarę, przeciw której był wymierzony.

Przekleństwo wydarło się z ust Paca. Po chwili opamiętawszy się wybiegł z domu, ażeby jak najprędzej opuścić obóz.

Służąca umierającej księżnej została przywołana przez szyldwacha, który usłyszał jej krzyk stłumiony.

Z głośnym krzykiem służąca padła na kolana przy łóżku i załamała ręce.

— Najświętsza Marjo Panno! — zawołała, — moja pani umiera! Na pomoc!

Jeden ze służby usłyszawszy te słowa, pobiegł po przybocznego lekarza królewskiego.

W obozie powstało zamieszanie. Wychowski usłyszał także, że księżna została zamordowaną i przekonawszy się, że tak było rzeczywiście, uważał za swój obowiązek zawiadomić o tem króla.

Już świtało.

Sobieski, usłyszawszy, że Sassa padła ofiarą skrytobójczego zamachu zawołał:

— Był to zamach na mnie! Sassa za mnie umiera! Zawołać lekarzy! Potrzeba ją ocalić!

Ubrał się szybko i pospieszył z Wychowskim do umierającej.

Lekarz odchodził właśnie od jej łóżka.

— Jaki stan księżnej? Musisz ją ocalić! — rzekł król do niego.

— Niepodobna najjaśniejszy panie. Sztuka nic tu nie poradzi! Pierś jest przebita! Za kilka minut nastąpi śmierć! — odpowiedział lekarz nadworny.

— I któż mi to uczynił? — zawołał król z boleścią, przystępując do łoża umierającej.

Gdy Sassa usłyszała głos Sobieskiego, rozjaśniła się jej twarz, a gdy go ujrzała, podniosła się raz jeszcze na skrwawionem łożu.

— Drogi mój panie! — rzekła słabym głosem, — żegnam się z tobą.

— Sasso! ty umierasz!... umierasz za mnie... zawołał król wzruszony do głębi duszy, wyciągając ręce do Sassy, patrzącej nań z zachwytem, — przelewasz krew za mnie! Dla mnie był przeznaczony ten cios mordrczy! Sasso droga, powiedz kto cię zamordował?

— Kanclerz Pac, — szepnęła, padając na poduszki.

— Śmierć i hańba nędznikowi! — zawołał Sobieski, zaciskając pięści, — pomszczę twą śmierć! Za mnie umierasz szlachetna, droga istoto!

Gorące krople łez spływały po męskiej twarzy króla.

Sassa skończyła.

Brzask dzienny przy oknie pokoju oświecał jej twarz spokojną i pogodną. Widocznie śmierć nie sprawiła jej boleści, wyzwoliła ją, przyjęta przez nią radośnie, bo ją za ukochanego ponosiła.

Zwłoki Sassy z rozporządzenia króla przewiezione uroczyście do Warszawy i tam złożono w grobowcu, w jednym z kościołów.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Na fundusz wydawnictwa nadesłali PP.:

Piotr Migacz z Grodka dla Maćka 90 groszy, Mieczysław Przybyłowicz z Niedźwiedzia 1 zł, Jan Partyka z Krakowa dla Maćka 1 zł. 50 gr.

ciałem do zimnego grobu, który go wołał do wiecznego spoczynku. I spełniło się przekleństwo gospodarza, którego sumienie będzie kiedyś gryść za życie sieroty!

Antoś skonał na grobie.

Zamarzł...

— — — — — — — — — — — — — — — — — — — —

Na niebie zapalały się poranne zorze.

Józef Pachołek.



Śnieg biały pokrył.

Umilkło ptaszę, co dzień cały śpiewa,
Śnieg biały pokrył i pola i drzewa —
Pod śniegiem również wieżyce kościoła...
I jakaś cisza i smutek dokoła...

Wciska się wszędzie całun śniegu biały,
Pod śniegu warstwą spoczywa świat cały,
A mróz i szczypie, i gryzie, i gnębi,
I całe ciało przenika do głębi.

Lecz choć zawieja jest taka na świecie,
Chociaż w szyby tumanami miecie,
Nie dbam na wichru straszliwe zawieje,
Bo mnie Twe wielkie ukochanie grzeje.

I niech tam wszystko zamarza na ziemi,
Ja pod Twych oczu promieńmi jasnemi
Prowadzę życie szczęsne i radosne
I czuję w sobie wieczną... wieczną wiosnę...

St. Kamyk.



Poradnik gospodarczy.

Jak podnieść wartość mleka?

Rolnicy, hodujący krowy mleczne, powinni się starać nie tylko o to, aby jego krowy dawały dużo mleka, ale także, aby to mleko było dobre i zawierało jak największy procent tłuszczu. Przy wyrobie masła, jak niemniej przy dostarczaniu śmietany do mleczarń spółkowych, krowy dające mleko o wysokiej zawartości tłuszczu, najlepiej się opłacają. Wiadomo bowiem, że do zrobienia 1 klg. masła potrzeba 27 l. mleka, zawierającego 4% tłuszczu, gdy przy wartości 3% tłuszczu musimy użyć aż 37 l. mleka. Nasuwa się przeto pytanie, czy i w jaki sposób możemy wpłynąć w naszych oborach na zwiększenie wartości mleka. Rozpowszechnione mniemanie, jakoby jakość lub ilość paszy, dawanej krowom, wywierały znaczny wpływ na zawartość tłuszczu w mleku, w małym stopniu jedynie znajduje potwierdzenie, przeprowadzone doświadczeniami w tym kierunku przez fachowców. Okazuje się bowiem, że przy paszy zielonej pastwisko i młoda koniczyna tudzież dodatek obfitujących w tłuszcz i białko makuchów lnianych lub rzepakowych wpływa wprawdzie u niektórych krów na małe i procentowe zwiększenie tłuszczu, głównie jednak działanie tych pasz pożywienia polega na tem, że krowy dają znacznie więcej mleka. Natomiast, jeżeli krowy otrzymają przez dłuższy czas większą ilość wodnistej paszy jak: wywary, rozcieńczone poidła, buraki, to i mleko będzie niekiedy wodniste. Są to jednak małe różnice, zależne często od indywidualnych własności krów i dlatego za zasadę przyjąć musimy, że na zawartość tłuszczu w mleku tylko nieznaczny wpływ może mieć jakość lub ilość paszy.

Jakość mleka jest przedewszystkiem właściwością rasy i dziedziczną indywidualną własnością pojedynczych krów w każdej rasie. I tak najtłustsze mleko mają u nas rasy krajowe, a w szczególności rasa czerwono-polska, której mleko zawiera od 3.8 do 4% tłuszczu! Dalej następują rasy górskie, jak: simentalska i berneńska o przeciętnej zawartości 3.6% tłuszczu — wreszcie rasy nizinne jak: holenderska, fryzyjska i oldenburska o zawartości jedynie 3% tłuszczu. W każdej z tych ras znajdują się pojedyncze sztuki, których mleko jest stosunkowo tłuste, jak z drugiej strony są także krowy o bardzo niskim procencie tłuszczu. Skoro własność ta jest dziedziczna, mamy w ręku możność znacznego podniesienia tłuszczu w mleku, przychowując cielęta tylko od krów, dających tłuste mleko i przelewających tę własność na swoje potomstwo.

Potrzeba nam dróg!

Podobnie jak żyły w ciele ludzkiem muszą być zdrowe, jeżeli mają krążyć po niem soki ożywcze, tak w każdem państwie musi być dużo dróg dobrych, aby rozwijał się ruch, wytwórczość i handel, od których to czynników zależy żywotność państwa. W państwie naszem system dróg nie jest dostosowany do potrzeb dzisiejszej chwili i dlatego też troska o jego uzupełnienie i rozbudowę stanowi jedno z najważniejszych zagadnień chwili. Pragnąc przyspieszyć proces wyrównania różnic dzielnicowych, musi państwo nasze rozbudować wszechstronnie naturalną, dośrodkową i współśrodkową sieć kolejową. Dogodne połączenia z Warszawą otrzymać muszą: Lwów — Kraków — Katowice i Poznań! Sieć kolejowa musi być znacznie zgęszczona w byłem Królestwie i w Małopolsce. Zniknąć muszą powiaty, w których niema szos państwowych i gdzie na 100 klm. przypada mniej niż 1 klm toru kolejowego. Budować więc trzeba nam tak drogi bite, jakoteż i żelazne. — Prócz wyżej wymienionych dróg mamy jeszcze drogi wodne, a transport niemi jest bez porównania tańszym. Z drugiej strony zmienny wodostan w lecie, a przedewszystkiem pokrywa lodowa w zimie, przerywają ruch wodny, który także ze względu na swą powolność nadaje się tylko do przenoszenia towarów surowych, ciężkich, pojemnych, a nieulegających szybkiemu zepsuciu (drzewo, zboże — węgle). Ponieważ ziemie nasze są wielkim producentem surowców i będą nim nadal w przyszłości, szybka przeto rozbudowa dróg jest jednym z warunków podźwignięcia życia gospodarczego w naszym kraju. Zarówno ruch lądowy, rzeczny i morski, jak ruch pocztowy, telegraficzny i telefoniczny wymagają porozumienia nietylko z sąsiadami, ale i z innemi państwami. Korzystne układy handlowe, uczestnictwo we wszystkich międzynarodowych zrzeszeniach i związkach komunikacyjnych niezbędne są dla dobrobytu i rozwoju społeczeństwa.

Wigilja Antosia.

(Nowelka.)

Zbliżała się wigilja Bożego Narodzenia... Po chatach gotowały gospodynie najwytworniejsze potrawy, których wedle tradycji miało być dwanaście. W wiosce zawarczało gdzieś od czasu do czasu studzienne koło, lub zgrzytnął przeraźliwie klucz żurawi starej kiernicy, to znów doleciał skądś stuk siekiery. — Wreszcie cała wieś uciechła, bo na niebie zapaliła się pierwsza gwiazda, która swojem promiennem spojrzeniem na świat rozpoczęła Święty Wieczór. Ludzie zasiadali do wieczerzy...

— — — — — — — — — — — — — — — — — — —

— Ej doloż moja sieroca! dolo... — westchnął cicho Antoś, przestępując próg chaty Lipczanów, u których służył od wiosny.

Gdy oczy Antosia zetknęły się z groźnemi oczami gospodarza, zmieszał się nagle, przypominając sobie o nienarąbanem jeszcze drzewie.

Nielitościwy Lipczan dzielił się opłatkiem ze swoją rodziną. Na widok jego srogiego oblicza przeszedł mróz przez ciało Antosia, bo prawie, że już odczuwał jego straszną karę.

— Ach, Jezusie! zawołał w duszy i niepostrzeżenie wybiegł z chaty.

Na jego wątłe barki złożył dziś gospodarz wszystką pracę, sam wygrzewając się przy ciepłym piecu, choć go jeszcze starość nie gniotła. Antoś przez cały dzień nie spał i nie darmował, jak i zawsze, lecz roztargniony tak dużą pracą zapomniał o drzewie, a zresztą nawet nie miał czasu.

— Oj, a tu trzeba, bo dwa dni świąt.

Choć go z przemęczenia opuszczały siły, jednak wziął w omdlałe ręce siekierę, aby okazać wierność gospodarzowi, chociaż późno już i zaszło święto. Uderzył nią w twarde polano raz i drugi i ustał. Przemęczenie gięło go do ziemi.

— Ach, Boże! kiedy skrócisz moją niedolę? — Ciężka u niego służba, — lecz niechby tam, byle tylko jakie politowanie miał dla mnie! — skarżył się cicho sierota, a łzy z jego ócz pociekły ciórkiem po twarzy...

Upadł na śnieg, gdyż osłabienie strąciło go z nóg. Lecz bojąc się strasznej kary niemiłosiernego gospodarza, podniósł się prędko, z wysiłkiem. Spojrzał błagająco, a litościwie na jasno oświetlone okna chaty Lipczana, a potem na cudną wigilijną gwiazdę mrugającą promieniami na niebie. Uczył w sercu niewysłowiony żal, — żal za czemś dawnem, co po Bogu było najdroższem temu sercu.

— Hej! kiedyż mój rok się tu skończy, bym odszedł stąd do lepszego pana na służbę?

Zacisnął wargi zębami z żalu i podjął siekierę. Lecz nie minęła go niezasłużona kara, bo zaledwie wzniósł ją do ciosu, już go Lipczan poczęstował sękatym kosturem po krzyżach.

— A draniu, leniuchu obrzydły! toś do tej pory zwlekał z robotą, czy nie miałeś czasu cały dzień!? — krzyknął niepomiarkowany, jeszcze raz grzmotnął go palicą po krzyżach i zaklął szpetnie:

— Bodajbyś raz już skonał!

— Oj! oh!! litości... — jęknął z bolu Antoś i poczołgał się po śniegu pod szopę.

Ledwie żyjąc, wcisnął się w siano i załkał rzewnie niepowstrzymanym płaczem. Był to jego wigilijny opłatek, podany z życzeniem na skonanie przez kata-gospodarza. Wściekły Lipczan skończył po chwili robotę, klnąc na wszystko, co w świecie, i wszedł do chaty, a o sierocie zapomniał, gdyż mu było dobrze i wesoło po wypiciu kilku kielichów zawrotnej siwuchy. Ale gniew Pański zawisnął nad nim i nad jego chatą za to, że zapomniał o tem przykazaniu Bożem, co woła upomnieniem na rozpętany naród: „Kochaj bliźniego, jak siebie samego!“ i za wszystkie kary niewinne, które wyrządził wiernemu słudze.

— — — — — — — — — — — — — — — — — — —

Cała wieś owiana świętem Bożej nocy była cicha. Weseli ludzie spożywali w ciepłych chatynach wieczerzę, rozpoczętą pszennym opłatkiem z miodem.

Tylko on, jeden, Antoś, marzł z zimna pod szopą i szlochał, dzieląc się sam ze sobą opłatkiem swej sierocej doli i bólem zadanym kosturem przez gospodarza, który był jego wigilją. Nie miał się biedny przed kim poskarżyć, bo rodzice jego pomarli już, do ludzi nie śmiał iść, którzyby go może nakarmili i pocieszyli, gdyż nie skończył jeszcze swej służby u Lipczanów, więc zaniósł się beznadziejnym płaczem... Odwrócił oczy od tego świata i zaniósł skargę ku niebiosom, bo tylko tam już widział jedyne swe szczęście, lepszą dolę:

— Jezusie mój! Jezusiku! zabierz mię już do Swego serca, co przygarnia i tuli słodko wszystkich opuszczonych na tej ziemi...

Naraz usłyszał dalekiej pieśni słowa: „Bóg się rodzi, moc truchleje!...“ Pierwsza kolęda zanucona przez szczęśliwą dziatwę napełniła radością całą wioskę i rozkołysanem echem trąciła o szopę, w której łkał sierota, Antoś. Kolęda ta rozrzewniła go do głębi. Zasłuchany w nią sięgnął myślą w niepowrotną przeszłość. Przypomniały mu się te dziecięce lata bez trosk i bolów, które spędził przy kochanych rodzicach, ta stara chatyna, w której otworzył oczy na świat cudowny, ta złota słoma i wonne sianko, które w wigilijny wieczór rozradowany ścielił po chacie, wreszcie ten pszeniczny opłatek podany drogą ręką szczerego ojca i kochający pocałunek najdroższej matki.

— O, Boże! gdzież to życie różane wyśpiewane w pieśniach przy mej kołysce? — gdzież ta dola szczęśliwa, co mi w snach świeciła, na przyszłość!? — zawołał rozżalony Antoś i wyszedł z pod szopy.

Całe niebo było już usiane gwiazdami, pomiędzy któremi zgubiła się gwiazda wigilijna. Mróz chwytał siarczyście powietrze... Antoś spojrzał pełnemi łez oczami na chatę Lipczana, w której nie zaznał nigdy dobrego słowa, ani politowania, lecz kolące szturchańce, same przekleństwa i ledwie dysząc powlókł się w stronę cmentarzyska. Szedł tam na grób swoich rodziców, niosąc im w duszy niewysłowioną skargę, czarne życie, gorzką dolę i rany okrutnego gospodarza!

— — — — — — — — — — — — — — — — — — —

Cały cmentarz nakryty śniegiem, drzemał w uroczystej ciszy, owiany spokojem zmarłych. Zbiedzony i ledwie oddychający Antoś dopadł do grobu najszczerszych piastunów. Wyciągnął przed siebie zbolałe ręce i runął na grób, wołając z nieutulonego żalu:

— Ach, zbudźcie się! popatrzcie najdrożsi na ciężkie krzyże, które włożyło na mnie życie cierniowe! — Wsatńcie! jeden pocałunek wasz zmyje niewinne rany gospodarza bez serca i pokrzepi siły przed dalszemi ciosami życia!

Lecz oni zmarli, leżeli zimni i nieczuli na łzawą skargę swego syna. Ale jemu się zdawało, leżąc tak blisko koło nich, że go słyszą i przygarniają do siebie. Z niezmiernej radości nie czuł już głodu, ni zimna, co mu z każdą chwilą odbierało to męczące życie.

W słodkiem ukojeniu uczucia jakiego doznała dusza w szczęśliwej chwili, przywarł mocno całem

KRONIKA.

Od Redakcji. Wszystkim naszym Przyjaciołom, Współpracownikom i Czytelnikom przesyłamy jak najserdeczniejsze życzenia „Wesołych Świąt".

Operacja Pana Prezydenta. Pan Prezydent Rzeczypospolitej prof. Mościcki poddał się w ubiegłym tygodniu w lecznicy Związkowej w Krakowie zabiegowi chirurgicznemu skruszenia kamienia w pęcherzu. Operacji dokonał docent Uniw. Jag. Dr Tadeusz Pisarski. Stan zdrowia dostojnego pacjenta po operacji był najzupełniej zadowalniający.

Znów samobójstwo bandyty. W poprzednim numerze „Roli" podaliśmy wiadomość o walce policji z bandytami w Rzeszowie, w czasie której bandyta Franciszek Chochryk wystrzałem z rewolweru odebrał sobie życie, nie chcąc dostać się w ręce policji. Drugi bandyta Stanisław Rybka sam zgłosił się u sędziego śledczego, a trzeci Mateusz Kurosz zdołał zbiec. Policja w pościgu za Kuroszem osaczyła go w domu kochanki Jadwigi Fornal we wsi Letka. Na widok zbliżających się posterunkowych Kurosz w przebraniu kobiecem zdołał wymknąć się do pobliskiego lasu i dalej ukrywał się. W nocy podpalił on z zemsty dom Jana Bębna i postrzelił w brzuch Marcina Kurosza, których podejrzewał o udzielenie policji wskazówek co do jego schroniska u Fornalowej. Następnie widząc, że każdej chwili będzie ujęty, udał się na strych stajni Jana Kocura i tam wystrzałem rewolwerowym odebrał sobie życie. W łączności z tą sprawą policja aresztowała Jadwigę Fornal, Juljana Ślączkę oraz Władysława i Annę Kurasiów za ukrywanie bandytów.

Katastrofa kolejowa. Onegdaj zawiadomiono władze, że na linji kolejowej Lwów-Stanisławów-Kołomyja wydarzyła się katastrofa kolejowa. Stało się to na stacji Jakubówka. Gdy przybył tam pociąg towarowy z Kołomyji, parowóz tego pociągu zaczął manewrować, przesuwając wagony z jednego toru na drugi. W czasie tym nadjechał drugi pociąg towarowy, który z całą gwałtownością wpadł na manewrujący parowóz. Z tego powodu oba parowozy i dwa wagony zostały silnie uszkodzone. Z pośród personalu kolejowego jest ośm osób rannych, w tem trzy bardzo ciężko, które odwieziono do szpitala w Stanisławowie. Na miejsce zjechała komisja kolejowa wraz z sądową celem zbadania przyczyny katastrofy.

Dramat miłosny na ulicy. Na przedmieściu Łodzi rozegrał się na ulicy krwawy dramat na tle zazdrości. Robotnik Kazimierz Mototkiewicz zauważył na ulicy swoją wybrankę serca, Marję Graczyk, idącą pod ramię z innym mężczyzną. W przystępie zazdrości Mototkiewicz dobył rewolweru i dał do spacerującej pary serję strzałów. Graczykówna ciężko ranna w piersi, padła na chodnik, poczem odwieziono ją do szpitala w stanie bardzo groźnym. Mototkiewicza aresztowano.

Morderca chciał udusić świadka. Podczas odbywającej się przed sądem w Cieszynie rozprawy o mord z przed sześciu laty, przyszło do brutalnej sceny. Jako oskarżony stawał przed sądem górnik Adam Wójcik, obwiniony o udział w zamordowaniu 23-letniego Moritza Sternlichta w jednej z wiosek pod Dziedzicami. Głównym świadkiem był drugi uczestnik mordu, niejaki Kopiec, który został na rozprawę sprowadzony z więzienia Świętokrzyskiego. Gdy podczas konfrontacji z Wójcikiem Kopiec powtórzył swe poprzednie zeznania, że to Wójcik strzelał do Sternlichta, Wójcik rzucił się na niego i zaczął go dusić. Tylko z największym trudem udało się wyrwać na pół już przytomnego Kopca z rąk rozszalałego mordercy. Proces zakończył się skazaniem Wójcika na karę śmierci przez powieszenie.

Śmierć w rzece. Niedaleko Wiednia jechał pewien rzeźnik z chłopakiem na targ i wiózł mięso. Aby skrócić sobie drogę przeprawiali się przez rzekę March promem, na który wjechali wraz z wozem.



Wielki galar już dojechał na drugą stronę rzeki, w tem miejscu dość szerokiej i głębokiej, gdy konie zlękły się czegoś, co stało na brzegu, szarpnęły silnie w tył wozem, który tylnemi kołami złamał założoną zaporę i runął do mroźnej wody. Chłopak wyskoczył w ostatniej chwili na prom, ale ciężki rzeźnik, który furmanił, wpadł z wozem i końmi do wody i tam zginął wraz ze swym dobytkiem.

Jak w bajce. Przed 15 laty w węgierskiej miejscowości Damak zamordowany został obywatel tamtejszy niejaki Ludwik Uij. Przeprowadzone w tej sprawie śledztwo wykazało, że sprawcą mordu był kochanek żony zabitego Józef Drotos, będący z nią w zmowie. Skazano ich na dożywotnie więzienie. Drotos miał wówczas 22 lata. Po 16 latach więziennej pokuty, morderca został ułaskawiony i wyszedł na wolność. — W tym okresie czasu jedyna córeczka małżonków Uij, która w chwili utracenia ojca liczyła sobie cztery lata, wyrosła na wyjątkowo piękną dziewczynę. Drotos po wypuszczeniu go z więzienia powrócił do rodzinnej wsi i najbliższej niedzieli, będąc w kościele, zauważył po raz pierwszy piękną dziewczynę, która jak urzeczona nie spuszczała zeń oczu Dowiedziawszy się, że jest to córka zamordowanego przezeń człowieka, Drotos, który poczuł rodzącą się już miłość, opuścił wieś i pojechał do swych krewnych, zamieszkałych daleko od Damak. Ale od tej chwili 20-letnia Irma nadaremnie walczyła z przeklętą miłością do mordercy swego ojca. Po długich staraniach udało jej się nareszcie dowiedzieć, dokąd uciekł ukochany przez nią człowiek i oto dnia pewnego Drotos, który jak i ona nie znalazł spokoju od pierwszej chwili rozstania, ujrzał stojącą przed nim ukochaną. Nie pomogła rozpaczliwa walka, jaką oboje stoczyli z ogarniającym serca ich miłosnym płomieniem — wyrzeczenie się było ponad ich siły i oboje wkrótce staną na ślubnym kobiercu. Otoczenie ich w tem niezwykłem wydarzeniu dopatruje się woli opatrzności, której sprzeciwiać się nie należy.

Kto zamordował arcyksięcia Rudolfa? Tragedja w Mayerlingu jest dotąd omotana nićmi tajemniczemi. Panuje przekonanie, że prawdy nigdy ogół się nie dowie. Od wypadku tragicznego upłynął cały szereg lat, powstawały różne wersje o śmierci następcy tronu austrjackiego i jego kochanki uroczej, Mary Vecserówny, wszakże żadna z wersyj tych nie wyjaśnia zajścia. Najnowszą wersją jest sensacyjna wiadomość, którą podają dzienniki wiedeńskie rzekomo na podstawie zeznań jednego z byłych służących arcyksięcia Jana, który później przepadł bez wieści, przybrawszy nazwisko Jana Ortha. Otóż według tej najnowszej wersji arcyksiąże podczas sprzeczki z następcą tronu rzucił doń szklanką i roztrzaskał mu czaszkę. Arcyksiąże Jan czynił Rudolfowi wyrzuty z powodu jego niewłaściwego stosunku do hrabianki Vecserówny, za co arcyksiąże Rudolf nazwał go ulicznikiem. Arcyksiąże Jan rzucił weń kuflem i uśmiercił go na miejscu. W pięć dni po wypadku arcyksiąże Jan wykluczony został z domu Habsburgów i pozbawiony wszelkich godności członka domu cesarskiego. Jak wiadomo, przyjął nazwisko Jana Ortha i znikł niewiadomo gdzie. Prawdopodobieństwo tej wersji podtrzymuje okoliczność, że przyczyn zniknięcia arcyksięcia Jana dotychczas nieznano. Dzienniki wiedeńskie poświęcają sprawie tej dużo miejsca i domagają się ekshumacji zwłok Rudolfa, aby ostatecznie stwierdzić przyczynę śmierci. Obecny rząd republikański nie będzie tej ekshumacji przeciwny.

Cudowne proszki. Berliński urząd zdrowia prowadzi obecnie ciekawe dochodzenie w sprawie zatrucia reżysera filmowego G. Jacobi, artystki kinematograficznej Elsy Brink i niejakiego p. Klebera. Osoby te były razem na odczycie znanego hypnotyzera Dr Müllera i tam nabyły sprzedawane przezeń proszki na uspokojenie i wzmocnienie nerwów. Po odczycie całe to towarzystwo udało się do restauracji na kolację, w trakcie której Jacobi wyjął z kieszeni jeden z proszków i zaproponował wypróbowanie jego działania. Propozycja ta spotkała się z ogólną zgodą i podczas gdy panna Brink i Kleber przyjęli po części dozy, Jacobi połknął całą zawartość papierka. Proszek poskutkował natychmiast, chociaż zupełnie inaczej, niż zapowiadał Dr Müller — wszyscy bowiem uczuli tak gwałtowny ból w ustach i przełyku, że zmuszeni byli natychmiast pojechać do szpitala. Tam lekarze zastosowali rozmaite środki i te pozwoliły artystce i Kleberowi wyjść nazajutrz ze szpitala, Jacobi jednak, który zażył większą porcję owego „uspakajającego nerwy“ środka, pozostać musiał nadal na kuracji. Obecnie Dr Müllerem zajęła się policja i przedewszystkiem zaczyna badać jego kwalifikacje doktorskie, a następnie stara się wyświetlić nazwisko, do którego się przyznaje.

Tragedja człowieka bez pracy. Jak donoszą ze Strassburga, w miejscowości Hagendingen wydarzyła się krwawa tragedja, której bohaterem jest polski górnik Edward Fitze. Z powodu utraty pracy, Fitze od pewnego czasu znajdował się w stanie niezwykłego zdenerwowania. Kiedy miejscowy kupiec Weyder upomniał się o należny mu dług, Fitze dobył rewolweru i strzelił do kupca. Na odgłos strzału wbiega do sklepu żona Weydera, do której Fitze dał dwa strzały, raniąc ją w ramię. Następnie Fitze pobiegł do domu, strzelając na oślep na wszystkie strony. Przybywszy do mieszkania, wystrzałem w głowę zabił swą 2-letnią córkę, następnie zranił 5-letniego syna Edwarda, ciężko zranił żonę, a wkońcu wystrzałem w głowę sam pozbawił się życia Tragiczny ten wypadek bezrobotnego wywołał wstrząsające wrażenie w całej okolicy. Stan syna Fitzego, żony jego, oraz żony Weydera jest bardzo ciężki.

Niewytłómaczone zjawisko. Niejaki Gaillard, kupiec z Lungdunu, przedstawia światu naukowemu zagadkę, trudną do rozwiązania, prawa bowiem jego ręka posiada własności niezwykłe. Dwaj badacze hinduscy, którzy poddali Gaillarda skrupulatnemu badaniu, mianowicie dyrektor policyjno-technicznego laboratorjum w Lungdunie, Dr Locard, tudzież profesor fizyki na uniwersytecie lungduńskim Dr Richard, oświadczają, że nie może być mowy o jakichkolwiek sztuczkach kuglarskich. Liczne doświadczenia wykazały, że wzięte w prawą rękę przez Gaillarda krwawiące się jeszcze mięso zmienia się wkrótce w kawał suchej skóry brunatnej. Małe ryby, żaby i ptaki kamienieją w ręce Gaillarda, a choć pozostawione są następnie całemi tygodniami na świeżem powietrzu, nie podlegają wcale rozkładowi. Wyłączone jest, zdaniem Dr Locarda, użycie przez Gaillarda jakichkolwiek środków chemicznych, gdyż środki wywołujące podobne skutki są znane i nie mogłyby być ukryte w ręce. Podczas doświadczeń dokonywanych przed kilku dniami, nasiona, potrzymane w ręce Gaillarda, traciły moc rozrodczą, a dojrzałe kartofle zamieniały się w twarde, ciężkie kule. Gaillard odkrył tę szczególną właściwość przypadkowo, a dodać należy, że lewa jego ręka jest zupełnie normalna i doświadczenia z nią czynione nie dały żadnych wyników.

Człowiek, który spał obok trupa. Z Paryża donoszą o ciekawej historji, bohaterem której był robotnik Marcel Auvrav. Wracając wieczorem do swego mieszkania na Montmartre, wstąpił do bramy jakiegoś domu, aby się schronić przed deszczem. Przez wpółotwarte drzwi parterowego mieszkania widać było światło. — Auvrav pchnął te drzwi i znalazł się w pokoju, w którym na łóżku leżał nieboszczyk, w fotelu zaś siedział człowiek, czuwający przy zwłokach.

— Możecie już odejść — rzekł do niego Auvrav — teraz moja kolej czuwania. Człowiek ów odszedł, a pomysłowy Auvrav zajął jego miejsce w wygodnym fotelu. Wkrótce potem zapoznał się z zawartością stojącej obok flaszeczki z rumem, poczem zmożony sennością, wyciągnął się na łóżku obok trupa. Nazajutrz rano żona zmarłego weszła do pokoju i słysząc donośne chrapanie, rozlegające się w stronie łóżka, z krzykiem pobiegła do sąsiadów. Ci ostatni z pomocą policjanta potrafili dobudzić się intruza, który spał snem kamiennym. Obudzony Auvrav powiedział obecnym, iż śniło mu się, że został żywcem pogrzebany.

155 letni narzeczony. Podczas pobytu Amanullacha w Konstantynopolu władca Afganistanu ofiarował na biednych sumę 100.000 marek, z których 5.000 otrzymał najstarszy nietylko w Turcji ale na całym świecie człowiek słynny Zara Agfa, liczący sobie okrągłe 155 latek wieku. I oto ciekawe, w jaki sposób współczesny ten Matuzelem spożytkował ów prezent, ofiarowany z wyraźną tendencją zapewnienia mu spokoju w ostatnich dniach jego długiego żywota. Zara Agfa zwrócił się do jednego z najbardziej znanych i kosztownych adwokatów, aby ten przeprowadził mu sprawę rozwodową z obecną jego 11-tą z kolei żoną. Chciałbym sobie dobrać coś świeżego i młodszego — rzekł ów nie do zdarcia Turek. Moja baba choć ma dopiero 90 lat, ale przastała mi najzupełniej odpowiadać temperamentem i zachowuje się w 74 lata po ślubie jak zupełna staruszka. Opierając się na poważnych tych argumentach mecenas turecki wniósł skargę rozwodową 155-letniego młodzieńca do sądu, tem bardziej, że klijent jego zdołał już wyszukać nową kandydatkę na małżonkę, której temperament i płomienna krew wróży mu prawdziwy siódmy raj Mahometa.

Spisek na życie Hoovera. Policja argentyńska wykryła rozgałęziony spisek na życie przyszłego prezydenta Stanów Zjednoczonych Hoovera, który odjechał w ubiegły wtorek z Chile do Buenos Aires. Policja aresztowała wielu podejrzanych, którzy utrzymywali stosunki ze sprawcami zamachów bombowych z powodu stracenia Sacca i Vanzettiego oraz wojen nikaragwajskich. Według informacyj, sprawa wykrycia spisku na życie Hoovera, przedstawia się następująco: Dyrekcja policji w Buenos Aires otrzymała anonimowy list, donoszący, że na życie Hoovera planowany jest zamach i podający dokładny adres domu, w którym znajduje się gniazdo spiskowców. Policja otoczyła wskazany dom i przeprowadziła skrupulatną rewizję. Rzeczywiście znaleziono tam cały magazyn bomb i materjałów wybuchowych, oraz szereg zapisków, między innemi dokładny plan zamachu na Hoovera. Według tego planu wagon salonowy, jaki przez rząd argentyński miał być oddany do dyspozycji Hoovera, miał być już przed Buenos Aires wysadzony w powietrze. Aresztowano mechanika, który sporządził bomby i szofera, który te bomby miał transportować. Rząd argentyński zarządził obsadzenie wszystkich torów kolejowych, którymi przejeżdżał Hoover silnemi oddziałami wojska, celem zabezpieczenia przed nowemi zamachami. Wiadomo, że Argentyna jest znanem miejscem schronienia anarchistów całego świata.

Wesele miljonerki amerykańskiej. Ubiegłych dni odbył się w dobrach miljonera amerykańskiego Edwarda Mauville ślub miss Estelli Mauville z hrabią Folke Bernadotte, który jest siostrzeńcem króla szwedzkiego. Jako świadek ślubny ze strony pana młodego wywystąpił książę Gustaw Adolf, najstarszy syn szwedzkiego następcy tronu. W pałacu nakryto stoły na tysiąc biesiadników. Zgromadziła się cała prawie finansjera Nowego Jorku, było bardzo wielu przedstawicieli arystokracji rodu i ducha. Gazety amerykańskie donoszą, że koszta uczty weselnej wynosiły 750.000 dalarów. Hrabia Bernadotte poznał miss Mauville w Monte Carlo minionej zimy i pojechał za nią do Ameryki, by oświadczyć się jej ojcu. Edward Mauville, zwany królem asbestowym należy obok Rockefellerów i Forda do najbogatszych ludzi w Stanach Zjednoczonych Ameryki. Miss Estella, dzisiejsza hrabina Bernadotte jest jedynaczką. Zamieszka ona razem ze swoim mężem w Stockholmie. Iluby to biedaków można za owe pieniądze wydane na ślub, uchronić od nędzy.

Klub teściowych. W mieście Indjanopolis w Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej powstał nowy klub, któremu nie można zaprzeczyć oryginalności. Mianowicie panie, posiadające córki w tem mieście, połączyły się formalnie w klub dla wspólnych celów. Podobnie jak przy przyjmowaniu służby domowej zasięga się uprzednio ścisłych informacyj, postanowiły te panie oddać swe córki tylko tym mężczyznom, o których będą dostarczone jak najdokładniejsze wiadomości. Jak tylko jakiś młody człowiek oświadczy się córce członkini klubu, nazwisko jego ma być natychmiast zameldowane w sekretarjacie klubu, który już we własnym zakresie zajmuje się wywiadem. Informacje zbierać się będzie szczególnie co do wieku, zajęcia, majątku, cnót, namiętności, stosunków z kobietami, zdrowia i charakteru amatora na męża, a także, czy ten nieszczęśliwy zaręczał się kiedykolwiek i z jakiego powodu zaręczyny zostały zerwane. Każda zatem przyszła teściowa, o ile tylko jest to możliwem, będzie miała dokładny obraz swego przyszłego zięcia, co pozwoli jej na powzięcie ostatecznej decyzji. Niestety należy przypuścić, że niewielu tylko zdoła zdać ten ciężki egzamin, a wątpić należy również, czy prawdziwie bogaty człowiek zechce się zgodzić na podobny wywiad. Jeżeli w Indionopolis klub ten ma powodzenie, to u nas w Polsce prawdopodobnie zbyt wiele członkiń by się nie zgłosiło. I tak będzie lepiej.

Tragedja na wyspie polarnej. Z Moskwy donoszą, że na wyspie Wrangla, wysuniętej daleko na północ rozgrywa się, czy też już się rozegrała tragedja, przewyższająca grozą tragedję wyprawy Nobilego. Przed dwoma laty wybrała się na wyspę wyprawa rosyjska, składająca się z 60 odważnych ludzi, którzy uwięźli na wyspie, a wszelkie usiłowania w celu zawiązania z nimi porozumienia lub zaczerpnięcia wiadomości spełzły na niczem. Przeszkadzały temu niekorzystne warunki atmosferyczne. Wyspa Wrangla, o której tu mowa, jest krajem opustoszonym, leżącym daleko na północ.-wschód przy 150 południku i 82 stopniu równoleżnika w pewnej odległości od cieśniny Behringa oddzielającej Azję od Europy. W sierpniu w roku 1926 wysadził rosyjski łamacz lodów „Stawropol“ na wyspie 5 Rosjan i 55 Czukczów jako pierwszych kolonistów wyspy. Zanim kolonistów na ląd wysadzono, kapitan okrętu wysłał z pokładu samolot, aby lotnik, któremu towarzyszyło dwóch Eskimosów, obejrzał ląd. Zauważono na wyspie ogromne mnóstwo pingwinów, które były tak ciekawe i pewne siebie, że przed samolotem nie pierzchły nawet w chwili gdy lądował. Tysiące ich rzuciło się potem na samolot, nie dając się spłoszyć strzałami. Spłoszono je dopiero rakietami dymnemi. Już w pierwszych dniach pobytu odwiedziła kolonistów nieoczekiwanie cała rodzina białych niedźwiedzi, które się na nich rzuciły. Nikt nie odważał się wychodzić z obozu bez broni. Kolonistów niepokoiły również polarne lisy i białe sowy. Gdy wzniesiono chaty i piece, statek wyspę opuścił. W roku zeszłym z powodu burzy i wichrów nie powiodło się statkowi przedostać na wyspę tak, iż kolonistów musiano pozostawić ich losowi. Nie można było dotąd po dwóch latach zasięgnąć o nich wiadomości. Obecnie rząd zamierza wysłać ekspedycję samolotów lub też wyprawę pieszą, aby dowiedzieć się o losie wyprawy. Powszechnie przypuszcza się, że wszyscy zginęli.



Na obrazku naszym widzimy owych kolonistów, zabijających psy morskie, z których później skóra miała im służyć na ubrania, zaś mięso na pożywienie.

Dziecko z ogonem. W miejscowości Knoxville (Stany Zjednoczone, Ternesse) urodziła się dziewczynka z ogonem, długim na 7 cali — jak o tem donosi naukowe czasopismo „Science Service“. Ogon ten jest rekordowej długości, gdyż dotychczas skonstatowała nauka najdłuższy ogon u 12-letniego chłopca z francuskich Indo-Chin. Dotychczas zna ona zaledwie około 25 podobnych wypadków, w których dzieci urodziły się z ogonami.

RZECZY CIEKAWE.

Jak pracują w fabrykach?

Im kto więcej trzyma się jednej roboty, tembardziej się doskonali, tem więcej zarobi, tem da taniej i zyskuje więcej na zakupno czego innego. Można się o tem przekonać na przykładach. Do najtańszych stosunkowo towarów należą: igły, szpilki, gwoździe, zapałki, lub inne drobiazgi. Rzeczy te muszą być tanie, ponieważ są robione fabrycznie przez pracę składaną. Gdyby w fabryce szpilek każdy robotnik robił całą szpilkę od początku do końca, najzręczniejszy z nich mógłby zrobić około 1.000 szpilek dziennie, a zarobek jego byłby tak małym, że zaledwie starczyłby na pierwsze potrzeby życia. Ale we fabryce szpilek inaczej się dzieje. Tam jeden ciągnie drut, drugi kraje, trzeci zaostrza koniec, czwarty przygotowuje główkę, piąty ją nasadza i przymocowuje, inni zaś składają i pakują. Tym sposobem dziesięciu ludzi wyrabia dziennie 60.000 szpilek, zaczem na każdego z nich przypada nie 1.000 ale 6.000 szpilek, przez co zarobek ich jest większy, a szpilki znacznie tańsze...

Tak samo idzie w fabrykach kart do gry. Jeden robotnik skleja dwa wielkie papiery, aby karty były twarde, drugi równa je w prasie, kilku odciska rysunki rozmaitych figur i rozmaitej barwy, inni suszą arkusze, inni jeszcze odciskają ozdóbki z drugiej strony, inni przecinają arkusze na karty, ostatni nareszcie dobierają talje. Razem 30 ludzi wyrabia dziennie 15.000 kart — na jednego zatem robotnika wypada 500 katr dziennie. Gdyby jeden człowiek chciał wszystko zrobić, zrobiłby ręką dziennie tylko 5 kart zamiast 500! Kowal, zajmujący się rozmaitemi robotami, może zrobić dziennie tylko około 300 gwoździ, chociażby był zręcznym robotnikiem. Właściwy zaś gwoździarz sporządza ich 2.500 na dzień przez to, że się specjalizuje (udoskonala) w jednej robocie. W fabrykach robi się gwoździe także pracą składaną. Jedni ciągną druty, drudzy je krają, inni zaostrzają, ostatni wyklepują główki. Tym sposobem czterech ludzi wyrabia dziennie 20.000 gwoździ, zaczem na jednego przypada 5.000.

W fabryce zapałek każda z nich przechodzi przez więcej jeszcze rąk i dlatego właśnie zapałki są tak tanie. Z tego widać, że człowiek, robiąc ciągle tosamo, nabywa wielkiej zręczności, dochodzącej nieraz do najwyższego stopnia. Chłopiec, który we fabryce igieł przebija uszka, przebija na pokaz w powietrzu dziurkę we włosie i przewleka przez nią drugi włos. Wszystko niemal na świecie powstaje wskutek pracy składanej, ponieważ jeden człowiek nie dałby rady, nie mógłby opanować wszystkich wiadomości. Dzieje się to skutkiem prawa Bożego, które chce, aby ludzie żyli między sobą jak bracia, wzajemnie sobie pomagali i jedni drugim stawali się użytecznymi...

(Iris...)

Największe szanse zamążpójścia.

Pomimo, że 106 chłopców rodzi się na każde 100 dziewcząt w St. Zjednoczonych, to jednak więcej chłopców umiera w pierwszych latach życia. Gdyby nie było imigracji, stosunek przedstawiałby się w ten sposób, że na 1.000 mężczyzn przypadałoby 1.013 kobiet. Wobec tego, że wśród imigrantów przeważa płeć męska znacznie, stosunek ten przedstawia się odwrotnie, a mianowicie na każdy tysiąc kobiet przypada 1.040 mężczyzn. Pozatem bardzo mało mężczyzn zostaje tam starymi kawalerami.

Szanse małżeńskie dla kobiet przedstawiają się najgorzej w Anglji, gdzie na każdy tysiąc kobiet przypada zaledwie 935 mężczyzn. W innych krajach zachodniej Europy również jest przewaga kobiet. Fakt ten przypisują większej śmiertelności wśród mężczyzn i emigracji mężczyzn do innych krajów, zwłaszcza do Ameryki. We Włoszech jest stosunek prawie równy, a sądzą, że kasta nieżonatych mężczyzn zupełnie teraz zniknie, gdyż dzięki Mussoliniemu, kawalerów obłożono olbrzymiemi podatkami.

Zupełnie odwrotne stosunki panują np. w Azji. W Chinach wypada 1.250 mężczyzn na 1.000 kobiet, w Korei 1.420 na 1.000 kobiet.

Odpowiedzi Redakcji.

Redakcja nie przyjmuje listów nieopłaconych i poczta odsyła je z powrotem.

Pp.: **Ks. Stanisław Janik** w W.: Za tak cenne dla nas słowa uznania serdecznie jesteśmy wdzięczni. Słusznie Czcigodny Ksiądz Kanonik twierdzi, że redagowanie pisma o tym typie, jakim jest „Rola" należy do rzeczy bardzo trudnych. Ale jakoś te trudności omijamy i możemy się poszczycić setkami listów, wyrażających nam uznanie i podziękowanie. Trafiają się jednak, choć rzadko, i zgrzyty. Czasem nadepcemy na czyjąś bolączkę, może nawet mimowoli, i zaraz obraza. A jako przykład przytoczę najświeższy wypadek: W jednym z ostatnich numerów Maciek nazwał pijaków i bajczarzy świniami. Otrzymaliśmy niemal bezpośrednio kartkę od jednego z obrażonych czytelników z napisem: Proszę mi więcej „Roli" nie przysyłać, która drukuje takie świństwa. Szczęśliwa świnia, która znalazła takiego obrońcę i przyjaciela. Wypadków takich bardzo mało, ale są, boć ludzie rozsądni wiedzą, że jeszcze się ten nie urodził, któryby wszystkim dogodził, i o byle obrazę jakiejś świni zaraz się nie gniewają. — **Józef Kowalik** w K.: Nadesłany nam wierszyk p. t.: „Przed zimą" bardzo ładny i dobrze napisany. Niestety teraz już spóźniony, gdyż zima w całej pełni. Schowamy go do teczki na przyszłość. — **Stanisław Wojtasik** w T.: Temat wspomniany może być bardzo ciekawy i z punktu pedagogicznego nadzwyczaj korzystny dla ogółu. Niech sobie jednak Pan pomyśli, jakieby gromy na nas spadły, gdybyśmy drukowali artykuły o prostytucji, choćby artykuły te najbardziej ją obrzydzały i starały się ją zwalczać. O inne artykuły prosimy. — **Kachna Ł. Łza** w W.: Wiersz i proza, jak zwykle, dobre. Dzięki. — **Piotr Wenc** w S.: Utworów świątecznych otrzymaliśmy kilkanaście, nie mogliśmy więc wszystkich zamieścić. Taki los spotkał i Pański utwór, zwłaszcza że przyszedł nieco zapóźno, gdyż z powodu świąt musimy druk numerów nieco przyspieszać. — **J. J. Singer** w Ł.: Nie znając nowelki, nie możemy powiedzieć, czy ją umieścimy, czy nie. — **Wojciech Byczek** w K.: „Przy wigilijnym stole" nadeszło zapóźno. Wierszyki jeszcze mamy, ale tak trudno o miejsce na nie. Recenzja ukaże się, gdy się trochę roboty przewali. — **Józef „Tomczyk"** w S.: Szarady dobre — pójdą. — **W. Zakuła** w K.: Wiersz zupełnie poprawny. Rym i rytm dobre. Składamy go do teki, przeznaczając do druku. — **Bronisława Propperówna** w J.: „Tęsknota za latem" ma duże walory poetyckie, ale obecnie spóźniona. Niech Pani pisze, a jeżeli napisze coś wybitnie dobrego, to prosimy przysłać. — **Tadeusz Turek**

w G.: Najlepiej zasięgnąć informacji w Powiatowej Komendzie uzupełniającej, zdaje nam się jednak, że to już rzecz spóźniona. — **Franciszek Marzec** w T.: „Wielki Pan" pójdzie. Za łaskawą pamięć serdecznie dziękujemy. Pieniądze na okładkę dotychczas nie nadeszły. — **Ks. Michał Nadolski** w Z.: Za błogosławieństwo dla naszej pracy serdecznie jesteśmy zobowiązani. Celem naszym jest, jak słusznie Ksiądz Proboszcz zauważył, jest nieść rozrywkę, wytchnienie po ciężkiej pracy, a przytem i wszczepiać potrzebne wiadomości w umysły czytelników, które im w przyszłości prawdziwą korzyść przyniosą. Oczywiście same naukowe artykuły zmniejszyłyby listę naszych prenumeratorów i podkopały byt pisma. Dlatego układamy tak „Rolę", aby każdy znalazł w niej coś ciekawego dla siebie. Jeszcze raz serdecznie dziękujemy za słowa zachęty i uznania. — **Maryla „Widz"** w O.: Wierszyk bardzo ładny. Za życzenia serdecznie dziękujemy. — **Józef Pachołek** w Ch. W.: Obrazek wigilijny dobry, niestety z powodu braku miejsca nie mogliśmy go zamieścić. Wierszyki zupełnie dobre. Wszystkie zaległe numera powinien Pan otrzymać, gdyż prenumerata nadeszła i wysłaliśmy je. — **Maryśka z Kamionki:** Za pamięć serdecznie dziękujemy i nawzajem przesyłamy życzenia „Wesoych świąt" dla Ciebie i całej Rodziny. Nowelka dobra. — **Franciszek Macioł** w S. B.: Obydwa wierszyki zupełnie dobre. Z roku 1927 prosimy zwrócić tylko Nr. 1, a z roku 1928 Nr. 1, 2, 3 i 4. Jedno albo drugie. Pozdrawiamy Pana. — **Piotr Leśniak** w M.: Wierszyk „Z Nowym Rokiem" będziemy się starali umieścić w noworocznym numerze „Roli". — **Franciszek Kowalczyk** w T.: „Rola" w r. 1924 i 1925 nie wychodziła dopiero w IV kwartale 1926 i od tego czasu numera wszystkie jeszcze mamy. Był to podręcznik do malarstwa. Przysyłać tylko samo rozwiązanie wszystkich zagadek. — **Jan Krzysztoń** w B.: Wszystkim numera świąteczne z czekami wysłaliśmy. Za przysługę dziękujemy i polecamy się nadal. Cześć! — **Jan Rembilas:** Pod wskazanymi adresami posłaliśmy numera „Roli" z czekami — dziękujemy i prosimy nadal o pamięć. — **Franciszek Pukas** w Szcz.: „Roli" nie wstrzymaliśmy, ale widać wójtowi się spodobała i nie chce ją z rąk wypuścić. Niech się Pan energicznie o zatrzymane numera upomni. Zapytamy się urzędu pocztowego w tej sprawie a później odniesiemy się ze skargą do Starostwa. — **Jan Kubielas** w K.: W „Roli" jest cena Kalendarza oznaczona na trzeciej stronie okładki. Adres sprzedawcy tych obrazów jest: Limanowa Sowlina p. Jabrucki. — **Władysław Zachara** w Ć.: Za uznanie dziękujemy jak również za życzenia i wzajemnie Pana pozdrawiamy

Zagadki do nagrody.

1. Rebus.



2. Szarady.

(Ułożył Franciszek Macioł z S. B.).

I.

„Rolę" czytam pierwsze trzecie
Bo prawdziwie piękna miła,
Druga druga mi mówiła,
Która wiozła małe dziecię —
Że bez zgłoski samo czwarte
W lecie pono nic nie warte,
Zato w zimie używane.
Całość jest nazwisko znane.

II.

Wstecz pierwsze i pół czwarta
Produkt w ziemi — dużo warta,
Drugie i trzecie służy za mieszkanie,
A drugie czwarte oznacza jak tanie.
Całość rzecz znana, w ziemi się znajduje,
Kto chce nagrodę, niechaj odgaduje.

Za rozwiązanie wszystkich powyższych zagadek przeznaczamy dwie książki do rozlosowania.

2. Logogryf.

(Ułożył Piotr Wenc z Ś).

■ ☆ ☆ ☆ ☆ Dzielnica Polski.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ Imię męskie.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ Sprzęt domowy.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ Imię żeńskie.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ Mieszkaniec Bałkanu.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ Imię żeńskie.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ Rzemieślnik.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ Rzeka.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ Kraj w Azji.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ Siedziba zmysłów.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ Ptak.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ Drzewo.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ Imię żeńskie.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ Zuch.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ Rzeka w Polsce.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ Rzeczy słodkie (wspak).

Początkowe litery czytane z góry na dół dadzą nazwę rzeczy używanej w czasie Świąt Bożego Narodzenia.

3. Przestawianka.

(Ułożył Piotr Wenc z Ś.).

No, we, so, da, Re, ni, sza, kom, Ro, wnej, li, łych, i, tel, Świąt, Czy, kcji!

Z powyższych zgłosek ułożyć życzenie na czasie.

3 Łamigłówka.

(Ułożył Piotr Wenc z Ś.).

■ □ □ □ □ □ □ □ □ □ □
■ □ □ □ □ □ □ □ □ □
■ □ □ □ □ □ □ □ □
■ □ □ □ □ □ □ □
■ □ □ □ □ □ □
■ □ □ □ □ □
■ □ □ □ □
■ □ □ □
■ □ □
■ □
■

Znaczenie wyrazów: 1) Szukany wyraz. 2) Zjawienie. 3) Gacek wstecz. 4) Wykonanie kary. 5) Drobnoustroje. 6) Naród. 7) Wulkan. 8) Imię męskie. 9) Zaimek. 10) Samogłoska.

Wyrazy czytane poziomo i pionowo w pierwszym rzędzie dadzą nazwę rozrywki dziecinnej podczas świąt.

Termin nadsyłania rozwiązań upływa dnia 28 bm.

Znaczenie zagadek z Nru 50 „Roli": 1. Arytmograf: Bitwa pod Płowcami. 2. Szarady: I. Katowice. II. Kawiarnia. 3. Zagadki: I. Rece-cere. II. Raj-jar. III. Dlatego wrony lecą do lasu, bo las do nich nie przyleci. IV. Pod jabłonią były trzy osoby: brat ze swoją siostrą i ze szwagrem. 4. Kwadrat magiczny: Cyfry mają iść w następującym porządku: rząd pierwszy: 3, 6, 4, 5. — rząd drugi: 5, 4, 6, 6. — rząd trzeci: 6, 3, 5, 4. — rząd czwarty: 4, 5, 3, 6.

Dobre rozwiązania w oznaczonym czasie nadesłali pp.: Ks. Michał Nadolski z Z., Ks. Stanisław Janik z W., Stanisław Porębski z P., Anastazja Mirkówna z N., Ks. Jan Wójcik z L., Franciszek Macioł z S. B., Józef Topolski z B., I. Zającżkowski z S., Wojciech Szczygieł z G., Jan Ogorzałek z C., Stanisław Marchewczyk z K., Ks. Michał Wałęga z T., Piotr Leśniak z M., Jan Bulek z Cz., Józef Stachel z K., Józef Pierściecki z J., Rudolf Kula z K. M., Janina Boroniczówna z N. T., Lola Marguliesówna z J., Ks. Kazimierz Nowolany z T., Marjan Serafin z N. T., Ks. Maciej Suchodolski z T., Józef Kośmider z S. B., E. Unsing z P., Jan Grych z G., Jakób Jeziorański z K., Jan Gara z W., Piotr Wenc z S., Józef Bywalec „Tomczyk" z S., Władysław Sołtys z N. S., Franciszek Kaletka z K. W., Józef Bittner z W., Teofil Pospiszył z Z., F. Popielarczyk z S., Wł. Sowiźrał z J., Karol Zemanek z J., J. Cichoń z P. i Władysław Zachara z Ć.

Nagrody wylosowali pp.: E. Unsing z P. i Janina Boronowiczówna z N. T.

Wydawca: Feliks Kowalczyk. Odpowiedzialny Redaktor: Antoni St. Bassara.
W drukarni «Czasu w Krakowie pod zarządem Leopolda Wójcika.

W Genewie.

Wraz z ambasadorami, przybywa, jak wiadomo, do Genewy mnóstwo urzędników mniejszego kalibru wszystkich narodowości.

W pewnej restauracji między Francuzem, Niemcem, Anglikiem i bolszewikiem toczyła się namiętna dyskusja, który z narodów jest najwytrzymalszy. Ponieważ dysputa nie doprowadziła do rozstrzygnięcia, postanowiono urządzić próbę.

Znaną jest rzeczą, że w koziej oborze panuje okrutny fetor. Kto najdłużej w niej wytrzyma, miał zostać zwycięzcą.

Na pierwszy ogień poszedł Francuz, lecz zemdlał już u progu, otwierając drzwi.

Drugi poszedł Anglik. Zapalił swą nieodstępną fajkę i spoczął wśród kóz, jednak po godzinie wybiegł z obory nawpół przytomny.

Przyszła kolej na Niemca. Ten wytrzymał aż dwie godziny, powtarzając sobie uporczywie: durchhalten, durchhalten!

Wreszcie wszedł między kozy bolszewik. Mija godzina jedna, druga, trzecia, czwarta, wreszcie z trzaskiem rozwalają się wrota wypadają... kozy, rycząc:

— Nie! z tym śmierdzącym bolszewikiem nie można wytrzymać.



U lekarza.

Lekarz, badając ubogiego pacjenta, zapytuje:

— Ma pan apetyt?

Pacjent z ożywieniem:

— A ma pan doktor co do jedzenia?



Mądry prorok.

— Dlaczego Mahomet zakazał Turkom pić wina, a pozwolił im mieć żon kilka?

— Bo słusznie kalkulował, że trzeźwo myślący człowiek ma dosyć j e d n e j żony.

Giełda płodów rolniczych

z dnia 18 grudnia b. r.

Pszenica .	45·00—46·00	Słoma długa	10·00—12·00
Żyto .	34·00—34·50	Ziemniaki stoł.	7·00— 8·00
Owies . .	34·50—35·50	Koniczyna na- sienn. czer.	000·00—000·00
Jęczmień .	32·50—33·50		
Fasola biała	00·00 – 00·00	Mąka żytnia	50·00—50·50
Groch zwyk.	58·00 – 60·00	Mąka pszen.	73·00—74·00
Siano słodk.	26·00 – 28·00	Otręby pszen.	27·00—27·50
Łubin żóły	00·00—00·00	Otręby żytnie	27·00—27·50
Koniczpastew.	33·00—36·00	Mąka czerw.	33·00—34·00

Ceny rozumieją się za towar średniej handl. jakości za 100 kg.

Ceny bydła i nierogacizny na krakowskiej targowicy:

w dniu 18 grudnia b. r.

Płacono za jeden kilogram żywej wagi:

Buhaje .	od 1·00 do 1·60 zł.	Jałownik	od 0·95 do 1·50 zł.
Woły . .	od 1·03 do 1·55 zł.	Cielęta .	od 1·46 do 2·03 zł.
Krowy .	od 0·71 do 1·25 zł.	Kozy i barany	0·00 do 0·00 zł.
Nierogaciznę	2·05 do 2·36 zł.	Nierogaciznę bitej wagi	od 2·75 do 3.00